

Książki, nic więcej

Arrate Egaña

—w—

Oryginalny tytuł: [Liburuak besterik ez](#)

Tłumaczenie: Katarzyna Mirgos

Korekta: Monika Młodnicka

W pewnej nie tak odległej krainie, nie tak dawno temu, rozgorzała straszna wojna i wielu ludzi zginęło albo zostało bez dachu nad głową. Na przykład, ukryta w oborze pewnego gospodarstwa, grupka dzieci. W pobliżu słyhać było spadające bomby, a raz po raz strzały i odgłos karabinów maszynowych *trrrrataaataa*. Młody żołnierz wszedł do obory i zobaczył dzieci: poważną, filigranową dziewczynę trzymającą w ramionach sierotę, dwóch bliźniaków, drżących ze strachu, i niezbyt dużą, ale odważną dziewczynkę, gotową bronić kijem swoich przyjaciół.

– Jestem po waszej stronie, muszę was stąd zabrać – powiedział im młody żołnierz. – Będziecie bezpieczni w starej bibliotece przy wyjeździe ze wsi.

Kiedy nadeszła noc, opuścili oborę i podążyli leśną drogą, kierując się w stronę biblioteki. Żołnierz chciał wziąć dziecko od poważnej dziewczyny, aby mogła biec szybciej, ale ona, jako że była silna i odważna, podziękowała za ten gest i ruszyła pośpiesznie, niosąc je w ramionach. Bliźniacy, bardzo zdenerwowani, szli krok w krok za żołnierzem. Na końcu odważna dziewczynka, nie puszczając kija, przemykała przez las jak cień. Księżyc w pełni pomagał im w wędrówce.

– Bibliotekarka to czarownica – powiedział jeden z bliźniaków, szcękając zębami.

– Tak, to potężna czarownica – potwierdził drugi.

– To nieprawda – sprostowała poważna dziewczyna. – Ona zawsze dobrze opiekowała się miejscową biblioteką.

Na skraju lasu stała pogrążona w ciemności biblioteka. Jej drzwi i okna były zamknięte. Gdy zadzwonili, pojawiła się ziewająca bibliotekarka, w szalu narzuconym na ramiona.

– Czego chcecie? – zapytała.

- Dzieci schronią się tutaj, ponieważ wróg zamierza spalić całą wieś.
- W takim razie wejdźcie, ale nie zapalajcie światła – nakazała bibliotekarka.

Weszli do środka, a dzięki wpadającemu przez kraty światłu księżycy mogli przyjrzeć się wnętrzu. Wszędzie panowała czystość i porządek, obrazy wisiały na ścianach, książki stały na półkach, a krzesła były ustawione wokół stołów, jakby w każdej chwili gotowe, na przyjęcie miejscowych dzieci.

Kilka dni później żołnierza poinformowano przez radiostację, że wróg rzeczywiście podpalił wieś. Otrzymał też rozkaz, aby chronić dzieci. Z ogrodu przy bibliotece dostrzegli na ciemnym niebie pomarańczowy blask najdłuższych ognistych płomieni, słyszeli też krzyki i strzały. Przez następne dni nie słyszeli już nic. Słońce wstawało codziennie, a ptaki śpiewały. Dzieci bawiły się w lesie z żołnierzem, a nocą bibliotekarka czytała im do snu. Ta bibliotekarka nie była złym człowiekiem. Była bardzo mądrą i szczodłą kobietą, która wszystko, co miała, rozdzieliła między dzieci i nauczyła ich różnych zabaw. Przez kilka dni poruszali się tylko w okolicy biblioteki i na ścieżce prowadzącej do lasu, tak jakby znajdowali się w innym świecie, spokojnym świecie bez wojny. Poważna dziewczyna śmiała się, słuchając czułych słów żołnierza, zapomniała, że jest żołnierzem; sierota uznała bibliotekarkę za matkę, bliźniacy zamiast wciąż drzeć, wybuchali gromkim śmiechem, a odważna dziewczynka zamieniła kij na książkę. Ale wojna pozostała wojną. Pewnego razu, gdy dzieci siedziały przy bibliotekarce słuchając bajki, usłyszały radiostację żołnierza. Wróg, zabijając dom po domu pozostałych przy życiu ludzi, skierował się w stronę lasu. Następnego dnia rano dotrą do biblioteki! Dzieci znów zaczęły drzeć. Żołnierz nie wiedział, co robić, nie mieli wiele czasu na ucieczkę, a z drugiej strony nie było gdzie się ukryć! Wówczas bibliotekarka, która, jak słusznie podejrzewali bliźniacy, była czarownicą, zaproponowała niezwykle wyjście, wyjście magiczne.

- Ukryjemy się we wnętrzu książek.
- Potrafisz tego dokonać? – zapytał zdumiony żołnierz.
- Wejście do środka nie jest trudne, ale później ktoś będzie nas musiał stamtąd wydostać.
- To bez znaczenia – powiedziała poważna dziewczyna. – Jeśli to jedyna możliwość ratunku, zrobmy to.

Nie mieli zbyt wiele czasu. Z lasu dochodził hałas, wróg powalał drzewa i strzelał do wszystkiego, co się ruszało.

– Szybko – powiedziała bibliotekarka do bliźniaków. – Dokąd chcecie się wybrać w podróż? Podoba się wam ta książka przygodowa? Albo tamta, o piratach?

Bliźniacy, nie przestając drzeć, zdecydowali się wejść do wnętrza opowieści przygodowej i kobieta wysłała ich tam, szepcząc kilka magicznych słów. Odważna dziewczynka wybrała książkę o piratach, a poważna dziewczyna, ponieważ zakochała się w żołnierzu, poprosiła go, aby razem ukryli się w baśni o elfach.

– Ja muszę walczyć – odpowiedział.

Bibliotekarka poprosiła młodego żołnierza, aby nie zostawał, gdyż wojna jest zła, a on nie jest złym młodzieńcem.

– Pomyśl, dla wielu innych ty będziesz takim samym wrogiem, jakim oni są dla nas. Będą się bali, a ty ich skrzywdzisz.

Żołnierz nie uległ jednak. Oznajmił, że pewnego dnia wróci i odszuka ich wśród opowieści.

– W takim razie aż do twego powrotu zostaną w baśni o Królowej Śniegu – powiedziała dziewczyna - i będę żyć w zimnie do czasu, aż wrócisz.

Bibliotekarka na oczach zapłakanego żołnierza umieściła dziewczynę w baśni o Królowej Śniegu, a następnie pożegnała się z nim. Kobieta od dawna chciała odwiedzić legendę o rycerzach i zanurzyła się w jednym z takich tomów, zabierając ze sobą dziecko. Ostatnia książka zamknęła się, a żołnierz uciekł zasmucony, zanim zaczęło świtać. Wrogowie zdewastowali las i dotarli do biblioteki. Wybili okna, zniszczyli drzwi, a wewnątrz wystrzelili kilkakrotnie. Opuścili jednak w pośpiechu to miejsce, musieli przecież zdobyć pobliską wieś, a tutaj nie było niczego, oprócz stosu książek.

Łódka

Jon Martin Etxebeste



Oryginalny tytuł: Txalupa

Tłumaczenie: Joanna Janiszewska

Korekta: Marta Buszkiewicz

Arkaitz i Iker bawią się w berka. Ainara i Izaskun obserwują ich z zazdrością. Też chciałyby się pobawić, ale nie zanosi się, żeby ich rodzice mieli się na to zgodzić. Igor najwyraźniej jest w tej samej sytuacji, ale nie wie, jak powinien się zachować. Nasz Lander też ma w oczach dwa znaki zapytania. Uśmiecham się i kiwam głową, dając mu przyzwolenie. Biegają w najlepsze. Z tyłu, za nimi, biegną też Luis, Joana, Goren i Haizea.

My, rodzice, jesteśmy cicho; nie słysząc nic prócz śmiechu dzieci. Zieleń świeżej trawy sprawia, że świat wygląda jak odrodzony. Nauczycielka miała rację. I po raz kolejny to dzieci przekazały nam, dorosłym, lekcję.

My, rodzice, spoglądamy na siebie i uśmiechamy się. Niektórzy, jak zawsze, z uporem spuszczaają oczy, ale większość z nas zrozumiała swój błąd.

Osiem miesięcy temu Estibalitz dowiedziała się, że ma raka; trzy miesiące temu, że już nie wyzdrowieje. Większość rzuciłaby pracę, ale ona za bardzo kochała dzieci. Dla takiej nauczycielki jak ona te siedmiolatki były całym światem. Była nauczycielką z powołania, miłą i błyskotliwą. Uczyła je drugi rok i już były częścią jej życia. Czuła, że jest im coś winna; wiedziała, że gdyby na zastępstwo przyszedł inny nauczyciel, poziom klasy obniżyłby się. Nauczyciel potrzebuje czasu, aby każde dziecko dobrze poznać i dotrzeć do niego; a byli już w połowie roku szkolnego, kiedy dowiedziała się, że nie wróci do zdrowia.

Nie ukrywam, że mi też na początku ten pomysł wydawał się dziwny, ale czas pokazał, że nauczycielka miała rację. Wielu rodziców sprzeciwiło się, ja również, ale ponieważ niektórzy mieli do niej zaufanie, inni zaś chcieli okazać szacunek komuś, kto niedługo ma umrzeć, zgodziliśmy się.

Oczywiście ona też miała wątpliwości. Czasami podczas chemioterapii było widać, że podupada na duchu. Czuła się słaba, prawie nie miała sił, by

przewodzić lekcję, ale własne przekonania dodawały jej energii, aby jednak uczyć dalej.

Kiedy zauważyła, że zaczynają wypadać jej włosy, zdecydowała się je obciąć. Dzieci podśmiewały się trochę, nie wiedząc jeszcze, co się działo. Następnie, kiedy zaczęłałysieć, postanowiła zakładać chustkę na głowę, nie ze względu na swój wygląd, ale żeby nie wzbudzać współczucia. Pewnego razu w czasie lekcji chustka przyczepiła się do krzesła, odkrywając jej głowę. Dzieci może i nie wiedzą wszystkiego, ale nie są głupie i rozumiały, że z ich nauczycielką nie było dobrze.

Następnego dnia, podczas przerwy, na podwórku panowała niezwykła cisza. Wszyscy uczniowie zostali w sali. Eneko zabrał nożyczki i podał je Oihanie. Ona z kolei każdemu po kolei odcinała kosmyk włosów: najpierw Jonowi, Oihanowi, Beñatowi, Dabidowi... Kiedy zadzwonił dzwonek, na biurku nauczycielki leżało mnóstwo włosów. „Zebraliśmy je dla pani” – powiedziała Karmele do Estibalitz.

Estibalitz rozplakała się. Płakała jak bóbr. Przytuliła wszystkich. Wtedy poczuła się silna jak nigdy dotąd i, na podstawie tego, co nam powiedziała, to właśnie wtedy podjęła decyzję, by nie poddawać się aż do końca.

Rozmawiała z dyrektorem i przedstawiła mu swój plan. Niezbyt podobał mu się ten pomysł, długo dyskutowali, ale jak mógł odmówić nauczycielce, która przez te wszystkie lata była wzorem?

Dzieci z radością zareagowały na ten pomysł. Estibalitz powiedziała im, że musi odbyć bardzo długą podróż i że potrzebuje ich pomocy przy budowie łódki. Dzieci ochoczo przyjęły tę propozycję.

Wkrótce zapelnili salę drewnem i kredkami. Przez kilka miesięcy dzieci malowały łódkę. Każdy miał swoje zadanie: jeden rysował, drugi malował, jeszcze inny śpiewał. Powoli dzieci zaczynały się domyślać, czym miała być ta łódka. Bo dzieci może i nie wiedzą wszystkiego, ale nie są głupie. W międzyczasie rozeszła się plotka, że dzieci budują nauczycielce trumnę. Zorganizowaliśmy spotkanie rodziców z dyrektorem. Wielu było zbulwersowanych: twierdzili, że dzieci są zbyt małe, żeby zrozumieć, czym jest śmierć; że wprawdzie śmierć jest smutna, ale dzieci nie muszą w niej uczestniczyć. Niektórzy zagrozili nawet, że przeniosą je do innej szkoły. Inni z kolei obawiali się, że ta zabawa przyniesie dzieciom więcej szkody niż pożytku.

Natomiast dyrektor, który na początku był przeciwko Estibalitz, stał się jej najgorliwszym obrońcą. Tym, którzy wciąż byli sceptyczni, zaproponował, aby zobaczyli pracę swoich dzieci. Na tamtym

popołudniowym spotkaniu pojawiło się więcej osób niż na niejednej wywiadówce.

Nie spodziewaliśmy się tego, co ukazało się naszym oczom. Kolorowa łódka mogła być czymkolwiek, ale nie symbolem śmierci. Większość z nas potrzebowała zaledwie kilku sekund, by zrozumieć zamysł nauczycielki; pozostali, upierając się przy swoich teoriach, wciąż narzekali, ale bez większego przekonania.

Pod koniec roku szkolnego dzieci skończyły łódkę i wówczas, tak jakby jej czas dobiegł końca, Estibalitz również zaczęła gasnąć.

Wczoraj, kiedy dotarła do nas ta wiadomość, nasz Lander wybuchnął płaczem. Ponownie pojawiły się moje obawy; ale dzisiaj, widząc twarze dzieci, nikt nie ma wątpliwości, że nauczycielka zmierzała w dobrym kierunku.

Dla większości dzieci to pierwszy kontakt ze śmiercią i przypuszczam, że za jakiś czas spojrzą na ten temat z innej perspektywy. My, dorośli, zbyt dużo takich rzeczy widzieliśmy i za późno już, by coś zmienić.

Każdy poprosił swoje dziecko, żeby się na chwilę zatrzymało; każde zostawiło kwiatki i obrazki przy łódce. Po morzu z papieru i kwiatów Estibalitz wyruszyła w kolejną podróż, z uśmiechem, przekazawszy uczniom i ich rodzicom ostatnią lekcję.

Dzwoni w każdy wtorek

Julen Gabiria

—w—

Oryginalny tytuł: Asteartero deitzen du

Tłumaczenie: Katarzyna Mirgos

Korekta: Monika Młodnicka

Dzwoni w każdy wtorek. Więc dziś też zadzwoni, powiedziała mama. A tata odpowiedział jej, żeby się uspokoiła, skoro dzwoni w każdy wtorek, a właśnie jest wtorek, to dziś też to zrobi, i żeby nie stała cały dzień przy telefonie, bo to nie sprawi, że córka zatelefonuje szybciej. A mama na to, że zgoda, ale chce odebrać telefon natychmiast, jak tylko zadzwoni. Tata odrzekł, aby się opanowała, wiesz, że telefonowanie z tak daleka jest drogie i może będzie czekała na tańszą taryfę, bo w Nigerii jest jedna godzina, a w Europie inna, ktoś to wie, jaka godzina jest w Europie, powiedział tata. A mama zaczęła się martwić i mówić, że nie, że to nieprawda, że zawsze dzwoniła około tej godziny, a dziś nie, i że na pewno coś jej się stało. A tata śmiał się i powiedział rozbawiony: „Stało się? Co by jej się mogło stać w Europie? Tutaj tak, tu łatwo się coś wydarza, ale to jest Afryka, a tam jest Europa, słyszysz? E-u-ro-pa!”. I roześmiał się, widząc mamę tak zmartwioną przy telefonie. Po co w ogóle pojechała? pyta mama, ale wie, jaka jest odpowiedź – bo w Europie są pieniądze. Ale i tak nie może zrozumieć: skoro w Europie są pieniądze, dlaczego córka dzwoni tylko raz w tygodniu, z kabiny i w pośpiechu. Czy nie lepiej więc było zostać w Nigerii, czy nie lepiej być głową myszy niż ogonem lwa? I czekała przy telefonie godzinami aż do nocy, a nawet wtedy też jeszcze trwała przy aparacie, bez wytchnienia. I wtedy zadzwonił *riiing*, a dźwięk ten już od dawna był prawdziwą słodyczą. I odebrała, ale to był jakiś Europejczyk, nie nigeryjska córka. I powiedział, że córka umarła, w Europie, w Bilbo, w dzielnicy Irala.

I teraz we wtorki nikt nie dzwoni do domu, z pierwszego do trzeciego świata.

Tak wiele miejsc

Lander Garro

—w—

Oryginalny tytuł: Hainbeste herri

Tłumaczenie: Paulina Bank

Korekta: Alicja Wiącek

Węzeł w gardle czasami znika. Na przykład wtedy, kiedy przychodzą Jokin i Manex. Wkładam mięso do garnka i siadam przy stole, żeby poczytać *Gara*¹. Być może włączam radio, słucham Alvareza Solisa², bo zawsze ma do powiedzenia kilka miłych słów, a to już coś.

Potem wpada Manex, w pośpiechu, wyciska pocałunek na moim policzku i nawet się nie domyśla, ile ta krótka pieszczota dla mnie znaczy. Potem zaczyna opowiadać o pracy w redakcji, zagląda do kalendarza, wspomina, że ma spotkanie i pyta, gdzie jest Jokin. Mówię mu, żeby nakrył do stołu, a on chce wiedzieć, czy jest jakiś deser, bo ja zawsze zapominam o deserze. To dla mnie tak typowe, jak moje kręcone włosy. Potem puszcza do mnie oko i wysyła mi najpiękniejszy uśmiech na świecie.

Uśmiech Jokina za to nie jest może najpiękniejszy na świecie, ale ja właśnie takim go widzę, co zrobić. Kiedy pojawia się Jokin, Manex się uspokaja. Bo mamy usiąść do stołu, bo Jokin wrócił, a młodsi bracia zawsze uspokajają się w obecności najstarszych. To też normalne. Jak spokój Jokina. Jak jego szare oczy. W takich właśnie chwilach węzeł znika. Ale jakaś nić łączy go z drugim. Zawsze gdzieś tam tkwi w ukryciu, dopóki nie zbudzi go krzyk.

Ale radzę sobie, tak jak może sobie radzić pięćdziesięciosześcioletnia matka. Ból pleców też jakoś znoszę, poza tym myślę, że autobus zatrzyma się w okolicy Palencji. Nie będę się martwić. Zawsze jest tak samo – zaczyna mnie kłuć w pasie i wtedy kierowca mówi do mnie po hiszpańsku³: „Jeszcze tylko pięć minut”. Ludzie idą do baru,

¹ *Gara* – gazeta wydawana w Kraju Basków, w której publikowane są artykuły po hiszpańsku i baskijsku.

² Alvarez Solis – znany dziennikarz radiowy.

³ Autorka pisze po baskijsku, jest natywnym użytkownikiem tego języka.

żeby się czegoś napić, ale ja zwykle robię sobie małą wycieczkę i patrzę na drogę.

Myślę, że dobrze wyglądam. Włożyłam włóczkową bluzkę, jasne spodnie i stare, skórzane, brązowe buty. Ale sama już nie wiem. Ciekawe, co pomyśli, kiedy mnie zobaczy. Poza tym, nigdy nie byłam szczególnie elegancka. Byłam na to zbyt zajęta. Urody chyba się człowiek uczy, a przecież na to trzeba czasu.

Zresztą, i tak nigdy nie zwraca uwagi na mój strój. Zawsze mówi, że mam najbardziej miękką skórę na świecie, i (może nie powinnam, ale jednak...) wierzę w to. Może to przez te jej szczerze oczy, ale nie jestem pewna. Chodzi o to, *jak* to mówi, o tę niezwykłą pewność, z jaką to mówi.

Malene posiada tę cechę od dziecka. Zaczęło się od piosenek. W naszym domu zawsze dużo się śpiewało, a ona od razu zdradzała do tego talent, z właściwą dziecku bezwstydną. Pewnego dnia odwiedziła nas ciotka Marixabel i powiedziała: „Słuchajcie, to niezwykle, jak szybko ta mała się uczy”. Zrobiłam obojętną minę, że niby to nic takiego, chociaż w tamtej chwili wierzyłam, że jestem najlepszą matką pod słońcem. Dla takich chwil warto żyć.

Śmieszna była czasami, mówię o kilku konkretnych sytuacjach. Malen tu i tam podsłuchiwała jakieś piosenki i powtarzała je bez jakichkolwiek uprzedzeń. Czasami wyśpiewywała „moja kochana Hiszpanio” i takie tam, bo słowa „moja kochana Hiszpanio” nie znaczyły wtedy dla niej tego, co znaczą. Ale ja jej na to nie pozwalałam, mówiłam „dosyc” i wtedy milkła, krzyżując ramiona z mściwym wyrazem twarzy.

Przypomniało mi się, co zdarzyło się w tamtym kościele. Chłopak koło mnie wydaje się sympatyczny, mogłabym z nim porozmawiać, że jadę zobaczyć moją córkę i takie tam, gdybym tylko nie była pogrążona we wspomnieniach. Nagle przypomniała mi się tamta scena. Chyba chodziło o jakąś uroczystość w szkole i kręciło się tam kilku księży. Może to były rekolekcje? Malene i Ohiana miały tam zaśpiewać i spędzały długie tygodnie, ćwicząc w domu. Miały dzięki temu wymówkę, żeby spać razem, chociaż i tak kładliśmy Jokina i Manexa w jednym łóżku.

Ohiana była dziwną dziewczynką. Nosiła okulary, tak jak i Malene, i może to właśnie je jednoczyło. Jak już muszą być okularnicami, to chociaż obie! Po cichu spiskowały przeciwko autorom wyzwisk. Miały dar zadziwiania wszystkich, a może tak się tylko wydawało. Traktowałam je jak dorosłe, bo tak właśnie się zachowywały. Jeśli chodzi o próby, również wykazywały się dużą odpowiedzialnością. Kiedy wchodziłam po coś do pokoju albo tak po prostu, żeby na nie popatrzeć, zerkały na mnie surowo,

nic nie mówiąc, ale nie kryjąc zniecierpliwienia. Wtedy Malene brała do rąk nuty i dalej la la la, korzystając z prawa, jakie dawał jej fakt, że jest moją córką.

Kiedy wreszcie nadszedł ten wielki dzień, wszyscy rodzice zasiedli w długich kościelnych ławach. Rozpoczęło się przedstawienie i dzieci jedno po drugim zaczęły wychodzić na scenę, aby zaśpiewać z przejęciem i ogromną treścią swoją krótką piosenkę. Kiedy przyszła kolej Malene i Ohiany, zaczęłam się bardzo denerwować. Pomyślałam z dumą, że Malene, z tą swoją nieuleczalną pewnością siebie, zaśpiewa świetnie. Jednak kiedy tylko wyszła na scenę, zastygła przed publicznością, oparta na jednej nodze, i pokonując tę samą trasę, wróciła za kulisy. Dziwne. Nikt nie liczył na to, że ponownie wyjdzie na scenę. Nikt nic nie powiedział, ale dla wszystkich było jasne, że dziewczynka stwierdziła, że pomyliła miejsca i nie ma mowy, żeby doszła do siebie. Tak właśnie wszyscy pomyśleliśmy. Ze wstydem czy też niepokojem czułam na sobie oskarżycielskie spojrzenia. Jednak dochodzę do wniosku, że czas zmienił nieco moje ówczesne uczucia; my, mamy, stajemy się jeszcze bardziej matczyne, kiedy dzieci dorastają.

Autobus oddalił się od Palencji. Zobaczyłam przed szybą autobusu wielki billboard, który po chwili znalazł się na naszej wysokości, żeby całkiem zniknąć. Tak jak znikają tysiące billboardów. Tak wiele miast, wsi, miejscowości, pól mijamy, w ilu miejscach nigdy się nie zatrzymamy!

Malene mimo wszystko nie porzuciła muzyki, ale myślę, że nigdy nie odzyskała pewności siebie.

Pamiętam dzień, w którym kupiłam jej pierwsze pianino. To były święta Bożego Narodzenia, a ja miałam kupić cztery prezenty. Pieniądzy mało, a cztery duszyczki czekają na podarunki. Tamtego roku musiałam porozmawiać z Manexem. Był ranek, właśnie rozmyślałam o tym, składając bieliznę. Manex wszedł do kuchni, a potem poszedł do ogrodu, żeby tam, przy pomocy gwoździ i drewna, naśladować ruchy ojca. Wbijał gwoździe w drewno, nic nie budując, ale licząc na to, że uda mu się coś stworzyć. Brał je do ręki, a gdy ich główki znikają w drewnie, wpatrywał się w nie przez chwilę, wyjmował spomiędzy warg kolejny i puk puk puk, znowu zaczynał wbijać. Podeszłam do okna, i zawołałam: „Manex, Manex, chodź na chwilę”.

Wtedy powiedziałam mu, że choć jest najmłodszy z rodzeństwa, odziedziczył charakter po ojcu; jest dojrzały, szybko dorasta i wkrótce stanie się mężczyzną. To właśnie mu powiedziałam, a on przechylił głowę i powiedział: „Mamusi, ja też będę budował statki, tak jak Tata”.

Być może popełniłam błąd. Kto wie. „Posłuchaj” – powiedziałam. „Mam taki plan, sekretny plan, nic nikomu nie powiemy, to będzie nasza tajemnica”. Wyjaśniłam mu, że Malene potrzebuje pianina, że chociaż pianina są drogie, musimy je kupić, on i ja, że jeżeli we dwoje zrobimy Malene prezent, to, chociaż będzie musiał poczekać, on też dostanie piękny prezent, ale nie na Gwiazdkę. Przyjrzał mi się uważnie i zapytał: „Mamusiu, czy pianino jest duże?”

Tego samego dnia poszliśmy do Fayma, sklepu elektronicznego, i kupiliśmy mały syntezator Casio. Manex, z ołówkiem za uchem i gwoźdźmi w kieszeniach, niczym prawdziwy stolarz, zaniósł go do domu. Potem pomógł mi schować instrument pod łóżkiem.

Chyba nigdy nie zdołam wyrazić, jak bardzo bezsilna czułam się w tamtym okresie. Tylko inna matka jest w stanie to zrozumieć. Być może tym właśnie zrobiłam Manexowi największy prezent, może wtedy, trochę nazbyt wcześniej, dowiedział się, czym jest solidarność. Być może dlatego teraz wykazuje tyle zgorzkniałej odpowiedzialności, może właśnie dlatego chodzi taki zmartwiony, ale zawsze gotów do pomocy? Zawsze stara się naprawiać cudze błędy, nie mogąc pojąć, jak ludzie są w stanie wprowadzać w świecie taki nieład. Zawsze w ruchu, zawsze kilka rzeczy naraz.

Krajobraz Benavente⁴ znowu się zmienia. Wydaje się, że eukaliptusy starają się przejąć władzę nad autostradą, pomimo trzech pasów, pomimo całego tego asfaltu. Rozpogodziło się i drzewa skrzą się w słońcu. Autobus niestrudzenie połyka kolejne kilometry autostrady. Chłopak obok mnie śpi z otwartymi ustami.

A potem wszyscy troje zaczęli dorastać.

Nagle Malene stała się samotnikiem; zamiast piłki nożnej czy pływania wybierała samotność. Nauczyciele z przerażeniem skarżyli mi się, że czas przeznaczony na zabawę spędza na czytaniu, że nie lubi pracy w zespole, itp. Teraz powiem coś na swoje usprawiedliwienie: wtedy zawsze jej broniłam. W domu było inaczej; ojciec czasem robił wszystko po swojemu, a ja, chociaż często się nie zgadzałam, wołałam milczeć. Ale nie w szkole. Tam nagle wykazywałam nieznaną sobie dotąd siłę charakteru i nauczyciele starali się ze mną nie zadzierać. „Nie” – mówiłam im. „Malene to normalna, mądra dziewczynka, która po prostu lubi czytać, ona się nudzi z innymi dziećmi, ale poza tym wszystko jest z nią w porządku”. „To dobre, kochane dziecko” – mówiłam. Żeby do nich dotarło. To całe środowisko nauczycielskie nie zbijało mnie z tropu. A oni spuszczaali głowy i milkli, w

⁴ Benavente – miasto w hiszpańskiej prowincji Zamora.

ten swój belferski, irytujący sposób, nie siląc się na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Jasne, będzie ich tu jakaś kura domowa pouczać.

Kiedyś umówiliśmy się z Marixabel na obiad. Takie babskie spotkanie. Przyszły Mamen, Marixabel i kuzynki z Trintxerpe⁵. Strasznie hałasowałyśmy, usiłując usunąć mężczyzn ze sfery naszych rozmów, uwolnić się od męskiej cenzury i cieszyć się tym uczuciem. Malene też z nami była, mogła mieć wtedy z dziewięć, może z dziesięć lat. Usiadła z nami przy stole, zza którego prawie jej nie było widać. Kiedy zaczął się obiad, Marixabel zaczęła używać dwuznaczności, jak przystało na złoźnicę. Subtelnie, ale dobitnie. Rozmawiałyśmy o naszych ciałach, ale w sposób ogólnikowy, nie rozmawiając o nas samych, nie używając słowa „ja”. „My, kobiety” – mówiłyśmy – „nie mamy odwagi milczeć”, śmiałyśmy się. W pewnym momencie Marixabel powiedziała do mnie, używając trzeciej osoby: „Maite, kiedy wychodziła za mąż, była szczupła”. Spojrzała na mnie i, z wielką słodyczą, dokończyła: „Prawda, Maite?”.

Kilka tygodni później, oglądałyśmy we dwie jakiś program w telewizji, chyba „Domek na prerii”. Bardzo to lubiłyśmy, zwłaszcza, że chłopcy sobie wtedy szli, wiedząc, że nie uda im się przechwycić pilota. W którymś momencie jeden z bohaterów użył słowa „zawiść”, więc zaraz padły argumenty, które miały przekonać widza, że to wstydlive uczucie. Nagle Malene powiedziała: „To zupełnie jak Marixabel”. Zdumiało mnie to. Marixabel? Zapytałam, co miała na myśli. „No tak” – powiedziała. „To przez tę zawiść”.

Prawdę mówiąc, wtedy właśnie przypomniały mi się zastrzeżenia nauczycieli, i pomyślałam: „A pieprzcie wy się z tą waszą pracą w zespole”.

W Pontevedra⁶ wszystko jest znacznie tańsze. Jak zamówisz kawę, dają ci też *churros*⁷. Ja zawsze zwracam uwagę na ceny, chociaż Manex wciąż powtarza, że mam sobie tym nie zawracać głowy. Manex to dobry chłopak, chociaż charakter ma po ojcu. Jokin jest spokojniejszy, bardziej milczący. Jokin jest jak kot; kiedy jest w domu, nie słyszysz go, ale też nigdy nie czujesz się samotnie, bo cisza, jaka go otacza, nie powoduje uczucia pustki. A pustka to najgorsza rzecz na świecie. Przynajmniej dla mnie.

⁵ Trintxerpe – dzielnica miasta Pasaia, znajdującego się w okolicach San Sebastián.

⁶ Pontevedra – miasto w prowincji Galicja.

⁷ churros – słodkie, smażone w głębokim tłuszczu ciastka, podawane z gorącą czekoladą lub kawą.

Któregoś ranka ktoś zadzwonił do drzwi. To był przedstawiciel *Círculo de Lectores*⁸ i miałam ochotę zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Jednak w ostatniej chwili coś, co zobaczyłam w jego oczach, kazało mi tego nie robić. Więc go wpuściłam.

Od tego czasu w domu na stałe zagościli Simon i Garfunkel, Cat Stevens i Beatlesi.

Ja zupełnie nie potrafię śpiewać, ale dzieci odziedziczyły talent po ojcu. Muszę przyznać, że dużo śpiewam, wstydzę się, ale śpiewam. Może to dlatego, że dzieci zawsze mnie prosiły, żebym im śpiewała? „Mamo,” – mówiły – „zaśpiewaj o tym, jak dziecko płakało”. Więc śpiewałam: „Pierś matki, pożywieniem ojca, pierś matki, zawsze wzruszająca”⁹. Zawsze przekręcali i wymyślali słowa, ale przynajmniej śpiewaliśmy razem.

Potem po angielsku, więc śpiewałam *berisguel*¹⁰, jak to oni mówili, ale wciąż śpiewaliśmy razem. Śpiewaliśmy *Hey Jude* i kiedy na końcu trzeba było zaśpiewać *la la la*, Manex, Jokin Jonik Malene zaczęli strasznie hałasować.

Wspominam o tym, bo nieobecność Malene w domu to właśnie brak piosenek. Malene mogła siedzieć w swoim pokoju, grając na pianinie, za zamkniętymi drzwiami, a i tak wypełniała cały dom muzyką niczym zapachem, taką jasną, taką prawdziwą, tak pełną życia. Przy pomocy nut wypędzała z każdego zakamarka samotność.

W taksówce, która wiezie mnie z Pontevedra do A Lama¹¹, węzeł w gardle powraca, jest jak jakaś nieokiełznana bestia. Potem taksówkarz pyta mnie, dlaczego z tak daleka, dlaczego sama, i takie tam. Ja dosyć jasno odpowiadam mu po hiszpańsku, że moja córka jest więźniarką, więc on patrzy na mnie w lusterku, jakbym była jakąś znaną śpiewaczką czy gwiazdą filmową, i ostatecznie mówi: „Ciekawe, kiedy uda wam się uporządkować te wasze sprawy”. Zazwyczaj taksówkarze są sympatyczni, patrzą na mnie z ciekawością prostego człowieka, więc wtedy mówię: „Moja córka jest cudowna”. Mam ochotę opowiedzieć mu o tym, o czym myślałam w czasie podróży, o muzyce, na przykład, i o wymyślonym pianinie.

⁸ *Círculo de Lectores* (dosł. Krąg Czytelników) – rodzaj obnośnej sprzedaży książek i płyt z muzyką. Działa na zasadzie subskrypcji.

⁹ Oryginalny tekst piosenki brzmi: „Pierś matki, pożywieniem dziecka, pierś matki, zawsze wzruszająca”. Słowa zostały zmienione, aby dodać piosence pikanterii.

¹⁰ Prawdopodobnie chodzi o angielskie „very well”, z wymową przekręconą przez osobę, która nie zna tego języka.

¹¹ A Lama – jeden z większych zakładów penitencjarnych przetrzymujący więźniów politycznych.

Kiedy Malene miała dwanaście lat, wyjaśniła mi, na czym polega problem skali. Syntezator ma ich mniej niż pianino, dlatego może służyć raczej jako zabawka, a nie instrument. Jest za mały, nie nadaje się do gry. Ale Malene nigdy się nie poskarżyła. Kiedyś, gdy weszłam do jej pokoju, zobaczyłam, że gra na krawędzi stołu, na wyrysowanej tam klawiaturze. Zapytałam ją, o co chodzi, i wytłumaczyła mi beztrzesko, jakby opowiadała o psie sąsiadów albo o latarni ulicznej. Nagle zastygła w bezruchu, spojrzała na mnie i powiedziała: „Mamo, ja nie chcę innego pianina”.

Niedługo potem kuzynki z Trintxerpe zobaczyły namalowaną na stole klawiaturę i kupiły Malene prawdziwy instrument. Tamtego wieczoru, gdy tragarz postawił je w pokoju, takie błyszczące, nieruchome, ciężkie, obie się rozplakałyśmy. Płakałyśmy cicho, spokojnie. Każda z tak różnych, a zarazem tak podobnych powodów.

Ale taksówkarzowi tego nie opowiem, za bardzo bym się wzruszyła.

Strażnikowi też nie. Nic im nie opowiadam, w ogóle się do nich nie odzywam. Bo nie mam im nic do powiedzenia, nie jestem w stanie z nimi rozmawiać. To węzeł w gardle mi nie pozwala. Bo znowu zalewa mnie ta fala miłości, którą poczułam tamtej nocy i tylko mam ochotę płakać. No i zobaczyć ją, ale przede wszystkim chce mi się płakać.

Więzienie zawsze pachnie chlorem, teraz też. Ściany pomalowane są dwoma kolorami; połowa na szaro albo niebiesko, druga połowa na białe. Na ścianach wiszą wypisane na czarno ogłoszenia, zakazy, godziny wizyt, warunki przekazywania paczek, informacje dotyczące utrzymywania czystości i ogłoszenia więziennych syndykatów.

Słychać trzask metalowych drzwi, odgłos, który kłuje w serce. Wszyscy ruszamy, przechodzimy przez jedne drzwi, stajemy przed kolejnymi, spoglądając niespokojnie. Kolejne drzwi, dwa metry dalej następne, jakbyśmy pozostawiali za sobą dwa stulecia historii. Ale za kolejnymi czeka na nas nagroda: za chwilę będziemy wiedzieli, widzieli, słuchali, czuli.

Czasem, przy odrobinie szczęścia, zanim docieramy do ostatniego przejścia, udaje mi się zobaczyć z daleka Malene. Widzę ją pomiędzy okienkami w ścianie, w wełnianej czapce, w tej wielkiej więziennej kurcie. Czasem widzę z daleka tylko zarys postaci i mam wątpliwości, do czasu, kiedy jakiś gest nie potwierdzi, że to ona, że to jej śmiech.

Wciąż słychać trzask zamykanych drzwi, płaczliwy odgłos, który czuje się aż w kręgosłupie, jakby miał zdolność przenikania do każdej kości z osobna, wpijania się niczym pazurami.

W końcu zatrzymujemy się w ostatnim korytarzu, przy wejściu do następnej, niewielkiej sali. Wtedy wyłania się spomiędzy strażników, drobnym, skocznym krokiem. I tylko wtedy węzeł w gardle zaczyna naprawdę znikać. Tylko wtedy wierzę, że straszliwa bestia kiedyś zniknie. Tylko wtedy druty kolczaste na chwilę zmieniają się w nitki włóczki, wiązane naprędce węzłki, lekkie jak mgiełka, miękkie jak gąbka, jak wełenka, którą babcia szykuje na sweter.

I wreszcie uścisk, szeptane pod czujnym spojrzeniem strażników pospieszne słowa, i dotyk skóry, tej właśnie skóry. I uczucie szczęścia.

Kiedy patrzy księżyc

Jon Gaztelumendi

—w—

Oryginalny tytuł: [Ilargiak begiraten duenean](#)

Tłumaczenie: Sonia Kolaczek

Korekta: Alicja Wiącek

Lipcowy zmierzch, nad dachami widać młody wciąż księżyc. Z ponad przygnębiających, rozpadających się dachówek więzienia przynosi osadzonym życie. Księżyc jest wzorem.

Cele znajdują się zaraz nad ziemią, a wszystko dociera do więzienia z góry, przez maleńkie okienko pod sufitem – każde zdarzenie, zajście, przejaw życia, powiew świeżego powietrza... Można poczuć zapach ziemi, mimo że nie można jej zobaczyć. O świcie czuć zapach pszenicy, trawy po letniej burzy, bezpowrotnie utracony aromat, ale zobaczyć – nie można.

W zniszczonej, najdalszej części więzienia przebywają dwie kobiety, każda w swojej celi.

– Joano!

Nawet w słoneczny dzień uderza szarość patia. Szarość nieba, szarość czerwonych cegieł, szarość zieleni omszałego muru, szarość błękitu cienia.

– To od nas zależy, czy to miejsce będzie zimną dziurą w ziemi, czy naszym domem – powiedziała któregoś razu Joana do wyglądającej przez okno Ainary.

Spogląda na żółtą poświatę księżycyca ponad dachem i kolejny raz woła Joanę, z całych sił, by dźwięk zdołał wyrwać się spomiędzy ścian. Staje na palcach, wyciąga szyję, jak tylko może najwyżej, aby dostrzec choć skrawek księżycyca, ale jest jeszcze za wcześnie. „Księżycu!” – mówi do siebie Ainara. „Zbliź się bardziej!” Znów czuje pokusę, żeby go dotknąć, naiwnie myśląc, że przez dotknięcie księżycyca mogłaby się w niego zamienić...

– Joano!

Co ona robi? Czuje, jak po całym ciele przechodzą ją dreszcze.

– Joanooo!

– Słyszę...

„Słyszę, słyszę” – powtarza Ainara zdenerwowana.

– Napisał do mnie Manu z więzienia w Salto. Wygląda na to, że zabierają im materace na dzień.

– Dlaczego? – Ainhoa zakłada za ucho kosmyk włosów.

– Bo nie chcieli stać w trakcie przeliczania.

– Dalej jest sam na oddziale?

– Jest coraz gorzej.

Joana chodzi po celi tam i z powrotem. W ciszy zmierzchu szept ich rozmowy brzmi jak burza. Nagle zapalają się umieszczone w ścianach światła. Z czterech żarówek świecą się tylko dwie. Wewnętrzny dziedziniec przypomina brzydką ulicę. Księżyc wspina się po niebie, aż wreszcie pojawia się nad Ainara, oświetlając celę. A jak na nią patrzy!

Wiedząc, że Joana po wielokroć będzie czytała list od Manu, Ainara zabija czas czekając w oknie, aż popołudnie przejdzie w noc. Słychać szczekanie psa, które wydaje jej się rozpaczliwe. Rozlega się pip-pip zegara. Wraz z alarmem otwierają się drzwi celi. Strażnik idzie, powłócząc nogami. Najpierw zatrzymuje się przed celą Joany, po siedmiu krokach podchodzi do drzwi Ainary i wraca, przeliczywszy więźniów. Są trzy minuty po dziesiątej.

Piętnaście po dziesiątej, Joana jak co dzień podchodzi do okna i rozmawiają do jedenastej, tak jak lubi Ainara. Z rozmową miesza się żalodne szczekanie psa, dym z papierosa, ten półksiężyc, lot sowy, która pohukuje, patrolując swoje terytorium w tę duszną, letnią noc... O jedenastej, jak zwykle, kobiety wycofują się, każda w głąb swojej celi.

Ainara włącza radio. Na żelaznym stoliku kładzie kilka czystych kartek, a na półce małą lampkę. Nalewa wody do szklanki... Jest bardzo zmęczona, być może zmorzona upałem, i ten księżyc. Kładzie się na łóżku. Z radia dochodzi melancholijny ton gitary. Strumień dźwięków któremu daje się porwać, zlewa się z jej wewnętrzną muzyką. Z zalanych spokojem zakamarków duszy wynurza się Josu. Znów. Kolejny raz. Nadlatują wspomnienia, nadlatują i odlatują. Zanurza dłoń w rzece, jakby chciała nabrać wody. Ile miłości może zmieścić się w dłoni? Już nie wie, ile razy zadawała sobie te pytania, a kiedy chce wrócić do źródła, otwierają się drzwi celi.

Do celi wchodzi naczelnik, przełożony więzienia i kilku strażników.

– Nie chcemy żadnych problemów – zaczyna naczelnik, przesadnie gestykułując. – Powiedźcie jej, co się stało.

„Co się stało” Ainarze wydaje się to dziwne. Coś muszą kombinować.

– Pani Nieves... – przełożony robi krok w stronę Ainary, odkaśluje i ciągnie dalej. – Podczas liczenia o trzeciej znaleźliśmy Joanę, pani koleżankę, martwą. To wszystko.

– Co?

– Nie chcemy żadnych problemów! – powtórzył przełożony. – Jako że była martwa, natychmiast zostałem powiadomiony ja, zawołaliśmy lekarza i zawiadomiliśmy dyżurującego sędziego. To wszystko.

Coś ją ściska w żołądku, coś jak cień, ciężki cień, który rozlewa się po całym ciele, a gdy podchodzi jej do gardła, Ainara niespodziewanie mówi:

– Jeśli to prawda, że Joana nie żyje... Chcę to zobaczyć!

Nikt nie wie, co powiedzieć. Przełożony podnosi dłoń i przesuwając dwoma palcami po kącikach ust.

– To wbrew regulaminowi, ale jest to zrozumiałe – przytakuje i jednym ruchem ręki nakazuje przejść do sąsiedniej celi.

Ainara rusza przodem, a za nią grupa strażników. Do celi Joany jest nie więcej niż 6 metrów. Zauważa, że drzwi są uchylone. Gdy zatrzymuje się przed nimi, strażnicy również stają w miejscu. Jednym ruchem otwiera ciężkie żelazne drzwi – strach, sucho w ustach, drżenie dłoni. Nie otwiera ich jednak na oścież. Gdy zagląda do środka, widzi Joanę. Lampka stojąca po drugiej stronie celi słabo oświetla łóżko, na którym leży. Ainara spogląda w lewo, gdzie na korytarzu stoi przełożony i strażnicy.

– Dajcie mi побыć z nią dziesięć minut. Sam na sam!

Przełożony odruchowo spogląda na zegarek. Gdy przytakuje ruchem głowy, Ainara wchodzi do celi, zostawiając ich na korytarzu.

Zamyka za sobą drzwi. Po prawej, ścianę barwi na trzy kolory wielka *ikurrina*¹². Ainara robi dwa kroki w kierunku łóżka i ujmuje dłoń Joany. Jest zimna. Wyczuwszy zapach wiciokrzewu (wiciokrzewu czy jaśminu?), Ainara zamyka na moment oczy. „Co mam ci teraz powiedzieć, Joano?” – myśli wstrząśnięta.

– Joano, nigdy jeszcze nie było tak źle – mówi, ściskając jej dłoń. – Nie spodziewałam się tego... Mówiłaś mi o tych ciemnych stronach walki, ale że nie jest tak źle, jak się wydaje... Bojownicy muszą umieć przyjmować śmierć, to nadawało życiu, rewolucji właściwy sens. – Z czubka nosa spływa jej łza. – Teraz nie jestem już tego taka pewna, naprawdę, Joano.

¹² Flaga baskijska.

Podnosi głowę, z podbródka spływają jej niemal błękitne łzy. I wydaje jej się zupełnie normalne, że z niebieskich oczu płyną błękitne łzy. Spogląda na półkę pełną książek. Na skraju półki stoi wypalone kadzidełko pachnące wiciokrzewem lub jaśminem. Obok, między książkami, zdjęcie uśmiechniętego Manu.

– Widzisz? Nie można wybiegać zanadto w przyszłość. Ty mówiłaś, że tak, że można planować przyszłość... Sama powinnaś powiedzieć Manu, co ci się stało. Co ja mam mu powiedzieć?

Na półce, która służy za stół nocny, zauważa czarownicę zrobioną z wełny i gałganek, którą sama podarowała jej na urodziny.

– Pamiętasz? Manu chciał mieć dziecko. Tyle się o to kłóciliśmy... Odpowiedzialność za życie jest jak odpowiedzialność za walkę” mówiłaś mi. Na początku nie rozumiałam podwójnego znaczenia tych słów... A teraz wkurza mnie to, że odeszłaś w taki sposób, bez uprzedzenia.

Pukanie do drzwi. Ainara nie odpowiada. Dalej siedzi z dłonią Joany w swojej, patrząc się na nią. Na szyi ma te same wisiorki, co zawsze – maleńki, ale misternie wykonany Kraj Basków, srebrny żołędź, niewielki półksiężyc.

– Joano, spędziłyśmy razem ostatnie pięć lat, nie wychodząc stąd. To miejsce jest pełne ciebie.

Błękitne łzy płyną dalej. Spogląda w dół – po podłodze, tuż przy ścianie, idzie rzędkiem grupa mrówek.

– Znów zostawiłaś otwarty słoik z miodem, Joano.

Stukanie w drzwi, metaliczne uderzenia.

– Koniec widzenia – słyszy Ainara wewnątrz celi.

„Nie ruszę się stąd. Zrobię tak, jak wtedy gdy strajkowałyśmy, wtedy, na początku roku, Joana. Mogli nas zabrać, dokąd tylko chcieli. Nie ruszymy się stąd!”

– Nie ruszymy się stąd! – krzyknęła Ainara.

Przytula ciało Joany. Biała koszula bez kołnierzyka pachnie płynem do płukania sprzedawanym w kantynie. Zaczyna całować jej szyję i czuje, że ktoś ją szarpie.

– Joanaaaa! – krzyczy z całych sił.

Wyciągają Ainarę siłą na ciemny korytarz.

– Joanaaaa!

Zrezygnowaną, wrzeszczącą z wściekłości zaciągają do celi. Czuje, że wrzucają ją do środka... Przy upadku rozlega się łomot.

Ainara budzi się na podłodze, musiała spać z łóżka. Z radia dochodzi muzyka, smutne tony kołyszą ciszę. Na stole ciągle leżą kartki. I wtedy

zdaje sobie sprawę, że to wszystko było tylko złym snem. Wstaje, roztrzęsiona, ale szczęśliwa. Podchodzi do okna, a gdy spogląda w górę, ukazuje się jej mrugający do niej półksiężyc.

Z sąsiedniej celi dochodzi:

– Ainara, Ainara, odezwij się! – zaniepokojony głos Joany, wołający w późną noc.

Maria i Józef

Arantxa Iturbe

—w—

Oryginalny tytuł: [Maria eta Jose](#)

Tłumaczenie: Alicja Wiącek

Korekta: Monika Glińska

Pierwszy mąż Marii złamał jej serce, drugi – wybił zęby, a trzeci zepsuł nowy samochód.

Pierwsza żona Józefa ukradła mu serce, a druga – wszystkie pieniądze z konta bankowego.

Maria nie miała niczego w całości, kiedy poznała Józefa.

Józef nie miał niczego, kiedy poznał Marię.

Kiedy Józef poprosił o pomoc, Maria zaproponowała mu miejsce do spania. Na jedną noc.

Nie minął miesiąc, a już dzielili jedno łóżko.

Niczego sobie nie obiecywali.

Nigdy nie rozmawiali o przyszłości.

Nigdy nie wspominali o miłości.

Józef zaczął pracować w warsztacie samochodowym. Wracał do domu Marii z rękoma czarnymi od oleju. A ona czyściła mu je dokładnie specjalnym mydłem. Nie chciała, żeby pobrudził jej pościel.

Pewnego razu do warsztatu trafił wrak samochodu zupełnie zniszczonego w wypadku.

– Jeżeli go naprawisz, jest twój – powiedział szef Józefowi.

I Józef zaczął pracować codziennie o jedną godzinę dłużej, dopóki nie naprawił samochodu. Maria o nic nie pytała. Józef nic jej nie mówił, chociaż każdego dnia po powrocie z pracy czekała na niego zimna kolacja.

– Mario, patrz! – zawołał Józef, kiedy udało mu się uruchomić samochód. Maria się wystraszyła. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby Józef był szczęśliwy.

– Jeśli chcesz, zabiorę cię nad morze! – krzyknął do niej z bramy.

I Maria zgodziła się.

W drodze nad morze Maria pomyślała, że życie z mężczyzną, który niczego jej nie psuje, to niemal pełnia szczęścia. Kiedy zbliżali się do wybrzeża, Józef pomyślał, że życie z kobietą, która niczego mu nie kradnie, wystarcza, żeby być szczęśliwym.

 Nie wysiadając z samochodu, nie zamieniając ani słowa, pocałowali się.

 Po raz pierwszy.

Czerwona chusta na szyi

Arantxa Iturbe

—w—

Oryginalny tytuł: [Pañuelo gorria lepoan](#)

Tłumaczenie: Alicja Wiącek

Korekta: Monika Glińska

Zawsze znajdowała w skrzynce jedynie rachunki lub ulotki reklamowe, więc bardzo ją zdziwiła ta różowa koperta. Obejrzała ją najpierw dokładnie ze wszystkich stron (już nie raz ucieszyła się na list, a później okazało się, że adresatem był ktoś z sąsiadów), ale na kopercie nie było żadnego nazwiska. Ani nazwiska, ani żadnego adresu, co jeszcze bardziej ją zdziwiło. Jednak naprawdę oniemiała, gdy jeszcze przed wejściem do windy (była zbyt ciekawa, by czekać, aż wejdzie do domu) otworzyła kopertę i zaczęła czytać.

Tylko dwa słowa. Starannym pismem, dobrze przemyślane, dokładnie na środku kartki: *Kocham cię*. Żadnego podpisu, żadnego znaku, nic. Te dwa słowa, jedno obok drugiego. Przeczytała kilka razy i pomyślała o tym, jak rzadko zdarzało jej się je słyszeć. Podążając za tą myślą, doszła do wniosku, że ktoś musiał jednak pomylić skrzynki i poszła spać.

Pamiętała tę myśl następnego dnia, głównie jednak rozmyślała o tym, jakie szczęście ma prawdziwa adresatka tego listu. Aż znalazła drugi w tej samej skrzynce – swojej własnej.

Kolejna różowa koperta. Bez nazwiska ani adresu, za to tekst w środku dłuższy: *Z każdym dniem kocham cię coraz bardziej*.

Drugi list nie wystarczył. Jak mówi hiszpańskie przysłowie, człowiek to jedyne stworzenie, które jest zdolne dwa razy potknąć się o ten sam kamień. W drodze do mieszkania pomyślała, że anonimowy wielbiciel właśnie potknął się ponownie. Nie dawało jej to jednak spokoju, dopóki nie zasnęła. „Dlaczego nie?” – pytała samą siebie. „Dlaczego ktoś nie miałby się zakochać we mnie?” Na tę myśl uśmiechnęła się, a uśmiech podkreślił pierwsze zmarszczki na jej twarzy, ale obudziła się o świcie w dobrym nastroju.

Dwa dni później otrzymała trzeci list: *Nie zaprzeczaj. Wiesz, kim jestem. Wystarczy mi jeden uśmiech.* A jeśli to prawda? Jeśli naprawdę ktoś jest nią zauroczony? Gdyby chociaż dał jej jakąś małą podpowiedź... Przejrzała w myślach wszystkich znajomych mężczyzn, ale nie mogła sobie wyobrazić, żeby którykolwiek z nich mógł wysyłać do niej anonimowe listy. Rzeźnik Joakin ją lubi, bardzo dobrze ją traktuje za każdym razem, gdy kupuje u niego żeberka, ale nijak nie mogła go sobie wyobrazić z różową kopertą. Don Ramon... nie ma mowy! Od dwudziestu dwóch lat jest jego sekretarką i przez cały ten czas nie usłyszała od niego ani jednego dobrego słowa, tylko tego jeszcze brakowało, żeby teraz zaczął wyprawiać takie głupstwa! To nie może być on! To byłby bardzo zły znak! Że też w ogóle jej to przyszło do głowy...

A kto powiedział, że to musi być mężczyzna? A jeśli to kobieta? To się nawet wydawało bardziej zrozumiałe. Oczywiście, to dlatego nie ma odwagi porozmawiać z nią osobiście! Na samą myśl przebiegł ją dreszcz, więc postanowiła dać sobie spokój i iść spać.

Zanim minął tydzień, dostała następny list. A w nim dziwną propozycję: *Jeśli chcesz się dowiedzieć, kim jestem, pokaż się z czerwoną chustą na szyi.* Z czerwoną chustą! A skąd tu wziąć czerwoną chustę? Coś podobnego, co za tupet! Uznała to za bezczelność, ale okazja była niepowtarzalna, więc poszła do Rosy Mari, nowej sąsiadki:

— Rosa Mari, przepraszam, że tak wprost zapytam... ale czy nie ma pani może przypadkiem czerwonej chusty, którą mogłabym pożyczyć? Mam jutro spotkanie i...

Rosa Mari z radością wyciągnęła swoją. Może ją spokojnie pożyczyć, a nawet – co tam! – niech ją weźmie w prezencie. Znudziła jej się już ta chusta... A gdyby potrzebowała jeszcze czegoś, niech pyta bez ogródek, przecież od tego są przyjaciele!

Tej nocy prawie nie zmrużyła oka. Spędziła ją, śniąc na jawie. Nie wydawało się jej, żeby czerwona chusta była w jej stylu, ale cóż, skoro tym sposobem ma poznać tajemniczego autora listów, to po prostu ją założy i wyjdzie z domu.

I tak właśnie zrobiła. Wybrała strój, który najlepiej pasował do chusty, i wyszła, czując się niezwykle wytwornie. Nie czuła się już jednak tak wytwornie, gdy wracała. Przez cały dzień wszędzie się rozglądała i nawet szła z pracy do domu najdłuższą drogą, ale nikt do niej podszedł. Dzień, który rozpoczął się tak obiecująco, zakończył się ponuro.

Następnego dnia z wielką niecierpliwością zajrzała do skrzynki, kiedy dostrzegła w niej różową kopertę. W liście przeczytała: *Dlaczego*

pożyczyłaś swoją piękną czerwoną chustę tej staruszce? Czy to ma oznaczać definitywne „nie”?

To nie jest Hollywood

Karmele Jaio

—w—

Oryginalny tytuł: Hau ez da Hollywood

Tłumaczenie: Marta Kopińska

Korekta: Alicja Wiącek

Nie może przypomnieć sobie tego nazwiska. „Jak to było?” – zadaje sobie pytanie Luisa. Stała na środku alejki w supermarkecie z zamkniętymi oczami, starając się przypomnieć je sobie. Ale nie może. Nie odrywając rąk od sklepowego wózka na zakupy, otworzyła oczy i popatrzyła jeszcze raz na tego siwego mężczyznę. „Strasznie jest do niego podobny, jak dwie krople wody” – pomyślała. Mężczyzna ze sklepu był żywą kopią jednego amerykańskiego aktora. Tyle lat już minęło, odkąd widziała go po raz ostatni na ekranie, że Luisa nie jest w stanie przypomnieć sobie, jak się nazywał. „To straszne...” – pomyślała. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek widziała zdjęcia tego aktora w dojrzałym wieku, pewnie zmarł młodo. Ale jest pewna, że ten mężczyzna, który stoi o parę metrów od niej, to sobowtór tego aktora około siedemdziesiątki.

Siwy mężczyzna stał w dziale z karmą dla zwierząt i Luisa zaczęła iść w tamtą stronę po jedzenie dla swojego kota. Zbliżając się, przygryzła wargi, starając się przypomnieć sobie nazwisko hollywoodzkiej gwiazdy, ale na próżno. Przyszedł jej na myśl Gregory Peck i Humphrey Bogart, ale nie, to ktoś inny. Odkąd skończyła sześćdziesiąt lat, ma coraz większe problemy z zapamiętywaniem nazwisk i martwi ją to. No chyba przecież nie ma jakiejś choroby mózgu?

Podeszła do mężczyzny i zaczęła przyglądać się puszkom z jedzeniem dla kotów. Wzięła do ręki jedną żółtą puszkę innej marki niż ta, którą ma w zwyczaju kupować, żeby przeczytać jej skład, gdy nagle mężczyzna zwrócił się do niej:

– *Suprême?*

Luisa zaniemówiła.

– Słucham?

– *Suprême* – odpowiedział, wskazując na żółtą puszkę mężczyzna. – To najlepsze jedzenie. Ja sam kupuję je mojemu kotu. Jest troszkę droższe, ale warto.

– Tak, *Suprême*... Ja też zawsze to kupuję.

Luisa skłamała i umilkła na parę sekund, nie mogąc zrozumieć, dlaczego nie powiedziała prawdy.

– To kot syjamski? – zapytał mężczyzna, próbując podtrzymać rozmowę.

– Słucham?

– Czy Pani kot to syjameczyk?

– Nie, nie, to nie kot syjamski, tylko inna rasa. Wabi się Izar. Samczyk.

– Mój to kot syjamski, kotka, Sugar. To „cukier” po angielsku. Moja córka ją tak nazwała, jak jeszcze mieszkała w domu.

Kiedy wspomniał córkę, jego wzrok powędrował gdzieś daleko, prawie aż do białego działu z mrożonkami. Zamilkł. Luisa nie wiedziała, czy kontynuować rozmowę. Z bliska jeszcze bardziej przypominał tego aktora. Cary Grant? Marlon Brando? Nie.

Mężczyzna w końcu powrócił wzrokiem do żółtej puszkę *Suprême*.

– To wspaniałe towarzystwo, prawda? – powiedział tym razem mężczyzna do Luisy wymieniającej w myślach nazwiska hollywoodzkich aktorów.

– Eee... Tak, oczywiście, wspaniałe towarzystwo – odpowiedziała mu drżącym głosem.

– Dla tych, co żyją samotnie, jak my...

– Tak – odpowiedziała Luisa, nie pozwalając mu skończyć zdania. Poczula w środku coś dziwnego, co zmusiło ją do ruszenia do przodu wózkami z zakupami. Włożyła puszkę *Suprême* do wózka i pożegnała się z mężczyzną.

Przechodząc alejkami supermarketu, zaczęła wyobrazać sobie tego mężczyznę samego w domu, z kotem na kolanach, oglądającego telewizję... Aż jakaś młoda dziewczyna przeprosiła ją, przeciskając się obok, i Luisa zdała sobie sprawę, że zatrzymała się na samym środku przejścia i stała tam nieruchomo już od dłuższej chwili.

Kiedy dotarła do domu, zostawiła torby z zakupami na stole w kuchni. Na podłodze siedział Izar, zerkając w jej stronę. Pupę posadził na posadzce, a przednie łapy i głowę miał sztywno wyprostowane.

– Co, kochanie? – zapytała go Luisa. – Chcesz wiedzieć, co ci przyniosłam? Dzisiaj mam dla ciebie niespodziankę, bardzo specjalne jedzenie.

Wyciągnęła puszkę *Suprême* z torby.

– Chcesz spróbować?

Nigdy nie widziała, żeby Izar w ten sposób jadł. Wszystko, co położyła mu na talerzyku, pożarł w mgnieniu oka. Ten siwy mężczyzna ze sklepu miał rację, nawet jeśli trzeba trochę więcej zapłacić, warto.

Umyła naczynia po kolacji i usiadła na sofie, z gorącą filiżanką herbaty rumiankowej. Izar wskoczył na fotel obok. Patrzył na nią od czasu do czasu, czyszcząc sobie językiem łapki.

Popatrzyła na niego i od razu przypomniała sobie o tym mężczyźnie z supermarketu. Zdała sobie sprawę z tego, że gdy wspomniał coś o swojej córce, jego wzrok powędrował w dal i przełknął głośno ślinę. Zrobiło jej się go żal, pewnie tęsknił za córką, na pewno rzadko się z nią widywał. Tak jak ona z Josebą. Odkąd ożenił się z Ritą i wyprowadził do Barcelony, Luisa bardzo rzadko widziała się ze swoim jedynym synem, Josebą. W Boże Narodzenie, latem, czasami na Wielkanoc... Wiele razy mówiła mu, że muszą przyjeżdżać częściej, że chciałyby widzieć, jak rosną jej wnuki, a Joseba jej odpowiadał: „Tak, musimy częściej cię odwiedzać... Może uda nam się wziąć parę dni wolnych w pracy...” Ale dni mijały – Luisa wiedziała, że młodym ludziom czas płynie szybciej, i rozumiała to – a ona tęskniła za Josebą i wnukami: Oihaną i Asierem.

Kiedy ta podła choroba zabrała jej męża – już dziesięć lat minęło, odkąd zmarł – Joseba i Rita, jeszcze bez dzieci, przyjechali na miesiąc do domu. Zbyt okrutne wydawało się Josebie zostawić matkę samą w dzień po takiej tragedii. Ale po miesiącu musieli już jechać, ze względu na pracę. Wtedy Luisa poczuła pustkę w domu. Kiedy przechodziła z pokoju do pokoju, słyszała własne kroki i musiała włączać radio albo telewizor, żeby nie słyszeć ich echa. Teraz też radio było zazwyczaj włączone przez cały dzień, od rana do wieczora, po czym zastępował je telewizor.

– Co bym bez ciebie zrobiła, kochanie? – powiedziała do Izara, który wskoczył jej na kolana.

Izar w ciągu czterech dni spałaszował cały zapas *Suprême* i Luisa musiała wybrać się do supermarketu po więcej. Wchodząc tam, przyszedł jej na myśl siwowłosy mężczyzna. Spróbowała znowu przypomnieć sobie nazwisko aktora, do którego był tak podobny, i przyszedł jej do głowy James Stewart, ale to nie był ten. Idąc wśród alejek sklepowych, wodziła wzrokiem po wszystkich zakamarkach. Pomyślała sobie, że mogłaby znowu spotkać tamtego mężczyznę. Doszła do półki z *Suprême* i zatrzymała się przy niej na chwilę, tak na wszelki wypadek. Ale nie pojawił się. Wtedy zdała sobie sprawę z tego, że nie wiedziała nawet, jak on ma na imię. Owszem, znała imię jego kotki, Sugar, ale nie znała imienia jej właściciela.

Ani nazwiska amerykańskiego aktora. I zaraz pomyślała, że musi umówić się na wizytę u swojego lekarza.

Właściciel Sugar nie pojawił się. Luisa wsadziła do koszyka cukier, mleko, parę puszek tuńczyka i chleb tostowy, po czym skierowała się w stronę kasy. Gdy już wychodziła, trzymając w ręku siatki z zakupami, drzwi automatyczne otworzyły się i nagle znalazła się twarzą w twarz z siwym mężczyzną, którego spotkała ostatnim razem.

– Dobry wieczór – powiedział z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

– Dobry wieczór – odpowiedziała mu Luisa, błyskając niedawno wstawionymi, białymi jak śnieg, zębami.

– Przyszła pani po więcej *Suprême*?

Skinęła twierdząco głową i poczuła, że robi jej się gorąco za uszami. Zawsze tak reagowała, jak się denerwowała.

Mężczyzna spytał, czy nie potrzebuje pomocy z zakupami, ale Luisa odpowiedziała mu, że nie ma takiej potrzeby, bo mieszka blisko. Mimo tego mężczyzna wziął jej torby i odprowadził ją do domu pod samo wejście. Po drodze powiedział jej, że ma na imię Herman, jest wdowcem i bardzo lubi czekoladę.

Luisa podziękowała mu w wejściu, pożegnała się i, wchodząc powoli po schodach, westchnęła. Gdy zamknęła drzwi wejściowe i odłożyła zakupy na kuchennym stole, westchnęła jeszcze raz. Dziś nie powiedziała nic do Izara, który jak zwykle patrząc na nią, siedział na podłodze. Nie wyciągając niczego z plastikowych toreb, usiadła i oparła głowę na ręce, wpatrując się we wpadające przez okno promienie słońca.

Potem, siedząc w salonie, opowiedziała Izarowi o tym, co przydarzyło się jej z Hermanem, ale zanim skończyła, kot zeskoczył jej z kolan i poszedł w stronę kuwety. Pomyślała teraz o swoim synu, czy, gdyby był w domu, odważyłaby się opowiedzieć mu o Hermanie. Raczej nie, w jakim celu.

Minęły już ponad trzy miesiące, odkąd Luisa poznała Hermana i często się spotykali, prawie codziennie. Na ulicy, w supermarkecie, w kolejce w banku... Krótka wymiana zdań, pragnienie, by pobyć ze sobą dłużej i każde z nich szło zawsze w swoją stronę.

Ale dzisiaj zdarzyło się coś niezwykłego. Luisa spotkała Hermana w drzwiach apteki. Porozmawiali o pogodzie, o katarze i o kotach. I właśnie temat kotów spowodował, że Herman wymówił magiczne słowa: chciałby, żeby Izar i Sugar kiedyś się poznały. Koty to indywidualiści wśród zwierząt, ale dobrze by było ich sobie przedstawić. Luisie pomysł wydał się świetny. Herman zaprosił ją i Izara, mogliby przyjść, kiedy tylko chcą.

Luisa odpowiedziała mu, że wolałaby, żeby to on i Sugar przyszli w odwiedziny do jej domu.

– Przyjdź jutro o szóstej wieczorem, przygotuję gorącą czekoladę – powiedziała Luisa, czerwieniąc się.

Luisa od rana czyści każdy kąt. Izar chodzi za nią w tę i z powrotem. Już jest wpół do szóstej. Luisa stoi przed lustrem w łazience, zdenerwowana. Pięć razy pomalowała usta i pięć razy starła szminkę papierem toaletowym. Nie chce, żeby Herman zauważył, że zrobiła sobie makijaż, ale chce wyglądać atrakcyjnie. Spryskała się perfumami, tylko parę kropel, żeby nie przesadzić.

Za pięć szósta. Zamknęła drzwi do pokoju syna, swoje też. Zamieszała kilka razy grzejącą się na małym ogniu czekoladę, żeby się nie przypaliła. Nagle zegar w salonie zaczął wybijać szóstą.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... W momencie, kiedy zabrzmiało ostatnie uderzenie zegara, Luisa klepnęła się w bok.

– Gary Cooper! – wykrzyknęła i w tym samym momencie rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi.

Już jest tutaj. Stoi przed drzwiami. Gary Cooper.

W drodze do drzwi przeżegnała się szybko, poprawiła spódnicę i bransoletki, i poszła otworzyć.

Ostatnie, co poczuła przed otwarciem drzwi, to uczucie gorąca za uszami.

– Niespodzianka!

Joseba, Rita, Oihana i Asier stali za drzwiami. Wszyscy patrzyli na nią uśmiechnięci. Oihana trzymała w ręku bukiet kwiatów.

Luisa stanęła osłupiała, przełykając ślinę.

– Nie spodziewałaś się nas, mamó, prawda? Ach, w końcu udało się nam przyjechać... O nic nie pytaj, bądź spokojna, wszystko załatwiliśmy w pracy tak, żeby móc Cię odwiedzić. Oihana, Asier, dajcie babci buziaka...

Joseba o czymś jej opowiadał w drodze do salonu, a Oihana i Asier skakali dookoła krzyżąc „niespodzianka, niespodzianka”, ale Luisa nic nie słyszała, widziała tylko ruch ust swoich gości. Zbladła i zamilkła.

Usiedli na sofie, a dzieci na podłodze. Joseba i Rita patrzyli w jej stronę. Czekali na jakiś znak, że niespodzianka sprawiła jej radość. I wtedy zabrzmiały jedyne słowa, które udało się wypowiedzieć oniemiałej Luisie:

– Macie ochotę na gorącą czekoladę?

Zamrożony lot

Karmele Jaio



Oryginalny tytuł: Hegaldi izoztua

Tłumaczenie: Marta Kopińska

Korekta: Alicja Wiącek

Zmięła karteczkę w dłoni. Zmięła ją z wściekłością i obracała w palcach, aż karteczka zaczęła przypominać szklaną kulkę. Sorne siedzi na sofie ze wzrokiem wbitym w dywan. Przez okno wpada jasne światło. Za oknem pada śnieg, a zza nieprzerwanie sypiących się z nieba płatków śniegu widać biały dach sąsiedniego domu.

Nie może odwrócić wzroku od dywanu, który kupili z Asierem zaraz po ślubie, a ze złości ma ściśnięte szczęki i mocno bije jej serce, przepelnione wściekłością. Wodzi wzrokiem po powierzchni dywanu, szukając czegoś wśród jego wzorów. Jest pewna, że kiedy go kupili, w którymś miejscu był rysunek gołąbka. Ale dziś nie może go odnaleźć. Gdzieś na tym dywanie, jakby schowany pośród kwiatów i liści, był gołąbek. Ale dzisiaj nie widzi niczego poza motywami roślinnymi i nie może w to uwierzyć, ściskając w palcach zmięty w kulkę papierek.

Po lewej stronie, na stoliku, stoi biały telefon. Po prawej, obok pustej sofy, leży rzucona niedbale książka. Leży otwarta i zagięła się jej jedna strona, ta z przepisem na kaczkę *à l'orange*. To książka kucharska, którą kupił jej mąż na lotnisku w Madrycie. Ostatnio często musi tam jeździć. W firmie są podobno strasznie zapracowani. Asier dużo pracuje i dobrze zarabia. O wiele więcej, niż kiedy ona pracowała jako urzędniczka w administracji – dlatego Sorne rzuciła pracę. Zdecydowała się na to, kiedy urodził się ich drugi syn. Zamiast zatrudnić kogoś do pomocy przy dzieciach, to ona się nimi zajęła, rezygnując z pracy. Pensja Asiera by im wystarczyła.

Odkąd mąż skończył zarządzanie i marketing na uniwersytecie w Pampelunie, nigdy nie brakowało mu pracy. Wszyscy, którzy tam studiowali, mają wspaniałe życie. Isabel też. Widząc karteczkę znalezionej w książce, Sorne przypomniała sobie jej imię i zdenerwowała się. Isabel jest

dyrektorem generalnym firmy w Pampelunie. Koleżanką Asiera ze studiów. Kiedyś Asier opowiadał jej coś o Isabel, ale zorientował się, że Sorne wcale nie chciała o niej niczego słuchać. Miała wrażenie, że gdy wspominał imię Isabel, jego oczy wypełniały się dziwnym blaskiem. Jest pewna, że kiedy razem studiowali, byli czymś więcej niż tylko przyjaciółmi, mimo tego, że Asier nigdy tego nie przyznał. A teraz przeklina w myślach tę Isabel, próbując jednocześnie odszukać wzrokiem gołąbka na dywanie.

Odkąd postanowiła rzucić pracę i zostać w domu, Asier często przywoził jej książki kucharskie z różnych miejsc, „żeby była najlepszą panią domu” – jak często mówił, żartując. Ale Sorne to nie bawiło. Mimo tego, śmiała się, żeby nie złościć się na niego, kiedy tak bardzo zmęczony wracał z pracy.

Serce bije jej mocno. Jest wściekła. Zezłościło ją to, co przeczytała na karteczce. Znalazła ją w książce, którą mąż kupił jej w zeszłym tygodniu na lotnisku w Madrycie, na stronie z przepisem na kaczkę *à l'orange*. To rachunek za książkę. Kiedy zobaczyła to, co było na nim napisane, rzuciła książkę w kąt, wściekła, a papierek zmięła ze złością. Wtedy też zorientowała się, że brakuje gołąbka.

Oderwała wzrok od dywanu i spojrzała w lewo na biały telefon. Wygląda, jakby miał na sobie szron, tak jak schowane w zamrażarce pojemniki z jedzeniem. Nieruchomy, cichy, zamrożony. Tak jak dach sąsiedniego domu, który widać przez okno. Patrząc na zwisające z niego sople, owinęła się ciaśniej szlafrokiem.

Wkrótce do niej zadzwoni. Przed dwiema godzinami miał odlecieć z Bilbao samolot do Madrytu. Wyszedł z domu wcześniej niż ostatnio. Powiedział jej, że przez śnieg będzie musiał jechać wolniej. Powiedziała mu, żeby uważał w drodze na lotnisko i zapytała, czy nie mogliby odwołać tego spotkania w Madrycie ze względu na złą pogodę, ale odpowiedział jej, że to spotkanie było bardzo ważne i że musi być tam dziś. Jutro i pojutrze też, niezależnie od tego całego lodu i śniegu, musi tam być. To powiedziawszy, pocałował ją w czoło i wyszedł, trzymając walizkę w ręku, a w zębach – rogalika. Wyszedł w pośpiechu. Śpieszył się bardziej niż ostatnim razem. Kiedy zabrała się do zmywania naczyń po śniadaniu, wyobraziła go sobie, jak połyka rogalika w windzie.

Zmyła naczynia, pościeliła łóżko i wstawiła pranie, po czym usiadła na sofie, patrząc na książkę, którą mąż przywiózł jej z Madrytu. I po tym, co w niej znalazła, tam właśnie została, w bezruchu. Wzrok wbity w dywan, w bezruchu, jakby słuchając dochodzącego z kuchni hałasu pralki, jakby licząc obroty, które wykonuje.

Nagle zadzwonił telefon. Poczekala do trzech sygnalów. W pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, czy podnieść słuchawkę, czy nie, ale od momentu, w którym wzięła słuchawkę do ręki i odezwała się, nie minęło ani pół sekundy.

To dzwoni mąż. Już jest w Madrycie. W sobotę będzie z powrotem w domu. Za trzy dni. Sorne pomyślała o trzech pojemnikach z jedzeniem. O zamrożonych pojemnikach. Zamrożonych dniach. Ma ochotę powiedzieć mu coś o znalezionym w książce rachunku, ale przelknęła ślinę i powiedziała mu tylko, żeby uważał na mróz. Pożegnała go, całując białą słuchawkę i miała wrażenie, że jej wargi przywarły do niej przymarznięte, jakby pocałowała kawałek lodu. Zabolały ją usta.

Nie czeka już na żaden telefon. Synowie nie mają zwyczaju dzwonić w środku tygodnia. Nie pozwala im na to studencki budżet. Już dosyć mają z płaceniem czynszu za mieszkanie w Bilbao. Zobaczy się z nimi w weekend. W takim razie do weekendu będzie w domu sama. Trzy dni. Trzy zamrożone pojemniki z jedzeniem przemknęły jej znowu przez myśl.

Za szybą sypie śnieg. Podeszła do okna i od przyglądania się płatkom śniegu zakręciło się jej w głowie. Musiała odwrócić wzrok. Stojąc tam, zaczęła prostować ściskany w rękę, zmięty w kulkę papier. W świetle odbijanym przez śnieg przeczytała znowu to, co było na nim napisane. Na środku rachunku widnieje wydrukowana niebieskim tuszem cena książki. U góry data, z zeszłego tygodnia, oraz nazwa znanej księgarni z Pampeluny. Nie z Madrytu, z lotniska, tak jak powiedział jej mąż.

Zmięła papierek znowu, mocno. I znów zaczęła obracać papierową kulkę w dłoni. Popatrzyła na lodowe sople zwisające z sąsiedniego dachu i wydało jej się, że to zamrożone łyzy. Łzy, których ona nie może uronić.

Chciałaby zebrać w sobie odwagę, żeby pokazać rachunek mężowi i poprosić o wyjaśnienie, ale za każdym razem, gdy o tym pomyśli, widzi siebie biegającą boso po śniegu, w szlafroku. Zamrożone łyzy na twarzy. Boi się.

Otworzyła okno i do domu wdarł się polarny mróz. Wyciągnęła rękę przed siebie i, popatrzywszy przez chwilę na papierową kulkę, wyrzuciła ją przez okno. Kulka przeleciała między płatkami śniegu z piątego piętra prosto na ulicę.

Wyobrażając sobie papierową kulkę lecącą ze śniegiem w dół, spojrzała na dywan i zaczęła się zastanawiać, kiedy gołąbek mógł z niego odlecieć. To właśnie złości i zasmuca ją najbardziej. To, że nie zorientowała się nawet, kiedy to się stało.

Głosy wielorybów (fragment)

Edorta Jiménez Ormaetxea

—w—

Oryginalny tytuł: [Baleen barbaroa](#)

Tłumaczenie: Magdalena Gazda

Korekta: Marta Buszkiewicz

Wieloryb!

– Wieloryb, wieloryb! – wykrzykiwał strażnik.

Słyszając te okrzyki, rybacy ożywili się, bo chociaż w porcie panował dotąd spokój, wieść o wielorybie mogła postawić na nogi nawet umarlaka.

Byłem z wujem Juanem na molo w Artza przy smołowaniu łodzi. Właśnie zaczęła się jesień, więc szykowaliśmy się do ostatnich rybackich prac w tym roku. Wkrótce mieliśmy wypłynąć na morlesze¹³, ale wobec takiej nowiny morlesze mogły poczekać.

W jednej chwili wszyscy rzucili się do spychania w morze sąsiedniej łodzi. Wuj, choć lewe ramię miał bezwładne, zerwał się także do pomocy.

– Dalej, chłopcy! – pokrzykiwał.

W pewnej chwili do nawoływań strażnika dołączył dzwon z pustelni i poniósł wieść dalej. Nawet jeśli w osadzie ktoś jeszcze nie słyszał o wielorybie, teraz już musiał się dowiedzieć. Prawdę powiedziawszy, bicie w dzwony wieściło zwykle pożar albo inne nieszczęście. Tym razem jednak w powietrzu pobrzmiwał pewien wyjątkowy ton. Wydało mi się, że głos dzwonu niesie „Wie-lo-ryb! Wie-lo-ryb!”, i słyszając to dźwięczne „Raz-dwa-trzy, wie-lo-ryb, raz-dwa-trzy!”, domyśliłem się, że to mój przyjaciel Doro uderza w dzwony. Zresztą, jak mógłbym się nie domyślić, skoro to ja nauczyłem go tego specjalnego sposobu bicia w dzwon.

– Ej! Leć no zaraz na wzgórze i spytaj, z której strony widać wieloryba – przykazał mi wuj.

Miałem zamiar pobiec tak, jak stałem – boso, a serce łomotało mi w piersi, jakby chciało się z niej wyrwać.

¹³ leszcze morskie

– A załóżże buty, synku! – rzekł wtedy wuj; to „synku” znaczyło, że aż się w nim gotowało z przejęcia.

– Spytaj jeszcze Simona, ile jest tych wielorybów. I wracaj mi tu raz-dwa!

Wbiegłem po pomoście i pędem skierowałem się na wzgórze. A gdy wuj nie mógł mnie już dojrzeć, natychmiast zdjąłem espadryle. Przecież szybciej pobiegnę boso.

W drodze na wzgórze zdyszałem się i serce waliło mi jak młotem; rozmaite wspomnienia i obrazy mieszały się w mojej głowie. Panował w niej chaos większy, niż w tłumie, gdy puszczają *zezensuzkoak*¹⁴ podczas fiest na Świętego Piotra. Czy to strażnik Simon wypatrzył wieloryba, czy może mnisi z klasztoru? To było teraz moje największe zmartwienie.

Mnisi mieszkali w klasztorze na wyspie, gdzie wiedli bardzo surowy żywot. Ale za to stamtąd, z wyspy Izaro, mieli znacznie lepszy widok na morze niż my w osadzie, z naszego wzgórza. Często dawali nam znać, co się dzieje na morzu, a mieli na to – i chciałbym wierzyć, że nadal mają – rozmaite sposoby. Gdy nadciągał sztorm, wrogowie, wieloryby, czy co tam jeszcze pokazywało się na horyzoncie, mnisi zaraz dawali znać w odpowiedni sposób. Naturalnie w zimie używali ognia, a w lecie – płótna, bo w zimie ogień jest bardziej widoczny z daleka niż płótno; a któż byłby w stanie dostrzec ognisko na wyspie w dusznym letnim skwarze, kiedy wszystko wokół zdawało się stać w płomieniach.

Gdyby to mnisi jako pierwsi zobaczyli wieloryba, musielibyśmy im oddać sporą część zdobyczy. Ale gorsza od oddania mięsa była konieczność wyzbycia się najlepszych kości i fiszbinów, chociaż pewnie to, co mówię, wyda się dziwne komuś, kto słabo zna się na wielorybach.

Tak więc chciałbym wyjaśnić, że bardzo ceniliśmy sobie wielorybie kości i fiszliny, bo nadawały się do robienia przeróżnych przedmiotów. Na przykład mój stołeczek z dziecięcych lat, który pewnie gdzieś tam jeszcze płacze się po domu, właśnie z kości wieloryba sporządził dla mnie niejaki Mańkut. Był to nie tylko doskonały rybak, ale także zręczny rzemieślnik. Od śmierci mojego ojca miał zwyczaj zatrzymywać się przy bramie naszego skromnego domu i toczyć pogawędki z matką. Ale uważano go też za pomyleńca i dlatego budził we mnie lęk. Opowiadano o nim niestworzone rzeczy, choćby to, że mieszkał w ciasnej komórce, jak jakiś kot. Trzeba przyznać, że historiom na jego temat nie było końca. Na domiar złego

¹⁴ *zezensuzko* – drewniany byk z przyczepionymi na grzbiecie fajerwerkami, używany podczas lokalnych fiest; osoba trzymająca wspartego na kołach byka biega za uczestnikami fiest, strzelając petardami i puszczając sztuczne ognie.

zaglądał też do kieliszka, więc resztę można sobie dopowiedzieć. Wygląd żebraka i niedbała powierzchowność też nie dodawały mu wdzięku. Sprawiał wrażenie nędzarza. No, ale nie zawsze.

Jeden jedyny raz widziałem Mańkuta w eleganckim ubraniu – i to nie jak zwykle przed bramą, ale w przedsionku. Zostałem go tam z moją matką, wróciwszy niespodziewanie z portu. Zaniepokoiłem się, bo spostrzegłem, że miała zaczerwienione policzki i głos jej dziwnie drżał, a także i to, że Mańkut, który chodził zwykle jak oberwaniec, tego dnia zjawił się w kurtce i starannie ogolony. Oczywiście trudno było mi pojąć, co takiego robił sam na sam z moją matką ten – teraz na pozór całkiem spokojny – jegomość, uważany przecież za wariata.

– Ależ ty urosłeś! Ten młodzieniec będzie chyba potrzebował niebawem własnego stołeczka? – rzekł Mańkut, a potem, zwracając się do matki, powiedział coś, co wprowadziło mnie w osłupienie. – Do zobaczenia następnym razem, *Brygido*.

„*Brygido*”! W domu nikt nigdy nie mówił do matki po imieniu – wszyscy, także wuj, a nawet Ebor, nazywali ją po prostu „matką”. I znowu coś mnie zaniepokoiło. Ale nie na długo. Kilka dni później stołeczek był gotowy i to arcydzieło odsunęło na bok moje zmartwienia.

Podobno mnisi z klasztoru byli równie dobrymi rzemieślnikami jak Mańkut; z tego, co opowiadano, w klasztorze na wyspie Izaro nie tylko stołki, ale i framugi drzwi do sypialni oraz większość mebli zrobione były z wielorybiej kości.

Nie wiedząc jeszcze, kto pierwszy wypatrył wieloryba, w duchu już złorzeczyłem mnichom. A potem ucieszyła mnie myśl, że jeśli to Simon go wypatrył, to całutki wieloryb będzie dla nas! Tak bardzo pochłonęły mnie te radosne rozważania, że aż się poślizgnąłem i zjechałem po trawie, nieźle objając sobie siedzenie.

Do siedziby Simona dotarłem utykając. Wtedy też wymacałem ogromną dziurę w spodniach na tyłku. Matka pewnie mnie skrzyczy. Ale co tam! Przecież dzięki temu wielorybowi będzie mnie wkrótce stać nie tylko na nowe spodnie, ale i na koszulę i kapelusz. Tymczasem byłem u Simona – w najbardziej tajemniczym zakątku naszej osady.

Miałem nie lada szczęście, mogąc oglądać z bliska tę osobliwą szopę. Była otwarta od frontu, a mały stolik, zastępujący drzwi, ograniczał wejście od podłogi do połowy ściany. W rogu stał kocioł, tuż pomiędzy beczką ze smołą i drewnem na opał. Na osobnych stertach leżały gałęzie z drzewa truskawkowego i laurowego, najlepsze do rozpalenia dymiącego ogniska. Simon miał więc pod ręką wszystko, co potrzebne do robienia

znaków dymnych. Patrzył właśnie przez lunetę, śledząc z ogromną uwagą wszelkie ruchy wieloryba.

Baliśmy się tego człowieka, bo zwykł mawiać, że wykastruje każdego, kto tylko zbliży się do jego chaty. I chociaż jeszcze nie wiedzieliśmy, co znaczy *wykastrować*, przeczuwaliśmy, że kryje się za tym słowem coś piekielnie nieprzyjemnego. Z perspektywy prawie osiemdziesięciu lat, muszę przyznać, że zachowanie Simona było bardzo rozsądne, bo nic tak nie mogło przeszkodzić w jego pracy jak my – dzieciaki, gotowe wszystkiego dotknąć, wziąć do ręki, popsuć, a nawet podpalić mu chatę.

Simon wiedział, skąd wieje jaki wiatr, wiedział też, jaki ogień rozpalić podczas jakiej mgły, co oznacza czarny lód – jednym słowem, znał się na wszystkim, co wiązało się z pogodą. Każdego ranka, przed wyjściem w morze, niejeden szyper, kapitan, a często i sam właściciel łodzi, przychodził na wzgórze do Simona po radę. Jak Simon mówił, żeby nie wypływać, tego dnia nikt nie ważył się wyjść w morze, to znaczy, zostawaliśmy w domu, a jak mówił, że można, to wtedy wszyscy płynęli. To była niemała odpowiedzialność. Może właśnie dlatego Simon był zawsze ponury jak chmura gradowa? Na szczęście, gdy zjawiłem się w jego chacie, przyjął mnie życzliwie.

Widok wieloryba musiał wprawić go w dobry nastrój, bo zwrócił się do mnie zupełnie inny, łagodniejszy człowiek, a nie ten szorstki, którego znaleźliśmy na co dzień.

– Są dwa, matka z młodym, zdaje się. Wujowi powiedz, że to ja wypatrzyłem je pierwszy, nie mnisi. Ci z Bermeo kierują się już za Izaro i ci z następnej wioski też. Powiedz mu jeszcze, że w Elantxobe też już na pewno wiedzą – nagła złość targnęła Simonem i ciągnął dalej gniewnie, złorzeczając pod nosem. – Właśnie dali znać swoim, piekielni braciszku!

Słyszając przekleństwa Simona, znów się go przestraszyłem. Jego bystre jak u albatrosa oczy płonęły gniewem. Według nas – a mam na myśli wszystkich chłopców w osadzie – nikt bardziej niż Simon nie zasługiwał na naśladowanie. Kiedy mewa pikuje za rybą, zdarza jej się chybić, natomiast albatros nigdy się nie myli. A czyż nasze życie nie zależało od bystrości jego oczu? Dlatego właśnie przyrównywaliśmy go do albatrosa, najbystrzejszego z morskich ptaków. W tamtych czasach każdemu wymyślaliśmy jakieś przezwisko, codziennie mieliśmy coś nowego do roboty i codziennie sprzeczałyśmy się o to samo. Najczęściej o to, kto ma nad kim władzę.

– Najważniejszy w Bractwie jest Starszy – dzień w dzień dowodził Peru Areneko, gdy wiosną szukaliśmy żab w portowej zatoczce. Pamiętam to jak dziś.

– Ale gdzie tam! – wykrzykiwał wtedy porywczy z natury Sebas, którego nazywaliśmy tak tylko dlatego, że nosił to samo imię co ja. – Starszy miałby się z pyszna, bez tego, co daje mu rada bractwa.

– Dajcie spokój, chłopaki! Może powiecie mi, skąd Cechmistrz wzięłyby ryby dla Starszego, gdyby strażnik nie wypatrzył wieloryba – powtarzałem słowa wuja Juana, z wiarą młokosa, który szybko chce dorosnąć.

I choć ani razu nie znaleźliśmy żabiego gniazda w porcie, niewiele nas to obchodziło. Chcieliśmy tylko dorosnąć, żeby już odłożyć na bok te zabawy i żyć jak prawdziwi mężczyźni. Z jednej strony niemal wszyscy chcieliśmy upodobnić się do Simona ze wzgórza, mimo iż miał przkleństwa, nie bacząc na przerażające kazania, których wysłuchiwałem w kościele. Niemniej jednak uważałem go także za wielkiego grzesznika, bo żyłem wtedy w bezustannym strachu przed możliwą karą piekielną. Na szczęście ten strach już dawno mnie opuścił, bo pojąłem, że wszystkie religie potrzebują grzechu, zresztą, jeszcze do tego wrócę. Wtedy jednak, gdy słyszałem takie rzeczy, żołądek podchodził mi do gardła.

Nadal mam przed oczyma twarz i krzepką postać Simona, jakby wciąż żył. Zdawało się, że w każdej chwili był gotów, niczym albatros, zerwać się do lotu, polecieć do klasztoru i zadziobać tych wszystkich mnichów. A jednak, jeśli naprawdę gdzieś istnieje ten obiecany nam przez wszystkie religie raj, to Simon tam właśnie powinien być.

W takie dni jak tamten niemało mu zawdzięczaliśmy; złowić wieloryba oznaczało dla nas znaleźć się na kilka dni w niebie. Zważywszy, że ilekroć zakonnicy z Izaro wypatrzyli wieloryba, dawali znać najpierw swoim z Bermeo, i że to im, zakonnikom, najłatwiej było wieloryba dostrzec, można by uznać za prawdziwy cud, że to właśnie Simon zauważył tamte dwa. Ale tak naprawdę żadnego cudu w tym nie było. Pewnie mnisi byli akurat pogrążeni w swoich modłach, bo było bardzo wcześnie rano, albo też wieloryby nadpłynęły z zupełnie niespodziewanej strony.

Krokodyl pod łóżkiem (fragment)

Mariasun Landa

—w—

Oryginalny tytuł: [Krokodiloa ohe azpian](#)

Tłumaczenie: Natalia Stolarska

Korekta: Karolina Kononowicz

Doktor Zaszybko miał na sobie rozpięty biały fartuch, stał wyprężony za biurkiem, podobny do toreadora, który właśnie ma przebić byka włócznią. J.J. był wdzięczny za błyskawiczne tempo, w jakim doktor przyjmował pacjentów, które zmuszało do bycia suchym i precyzyjnym:

— Mam krokodyla pod łóżkiem.

Lekarz nie drgnął, nie sięgnął też po notes.

— Jakich rozmiarów jest krokodyl?

— Wielkości dużej walizki.

— Jakiego koloru?

— Bury.

— Rusza się?

— Nie. Tylko je.

— Co je?

— Buty.

W tym momencie ponownie zapadła cisza i J.J. wciągnął powietrze, jak gdyby dotarł na metę po długim i trudnym biegu.

— Dobrze, proszę brać tabletki KROKODYFIL, jedną rano i jedną wieczorem; czopki KROKODYTALIDON, raz dziennie, i tabletki musujące KROKODYTAMINA podczas posiłków. Dwa razy w tygodniu. Następny!

J.J. w pośpiechu złapał recepty, które wypisała pielęgniarka, i uspokojony wyszedł na ulicę.

— Czego pan sobie życzy, młody człowieku?

Aptekarz patrzył na niego znad okularów, jak gdyby go znał, ale nie mógł przypomnieć sobie imienia. J.J., który przez to wszystko, co mu się ostatnio przydarzyło, wyglądał żałośnie, wyczuł w tym zwyczajowym pytaniu faktyczną ciekawość...

— Przeszedłem wykupić te lekarstwa...

J.J. zamilkł z szacunkiem, by ukryć zakłopotanie, podczas gdy aptekarz zajął się odcyfrowywaniem recept.

— Tak... tak. Krokodytalidon, Krokodyfil i Krokodytamina!

I wymieniwszy te nazwy, aptekarz uniósł wzrok znad recept, jakby spodziewał się, że J.J. zacznie bić brawo...

— Krokodylica bywa bardzo dokuczliwa! – stwierdził i ruszył na zaplecze po lekarstwa. J.J. poczuł, jak w sercu otwiera mu się okienko. Aptekarz najwyraźniej nie przejął się jego chorobą. Mówił o tej „krokodylicy” niemal nieuważnie, jakby to była zwykła grypa, i w dodatku użył słowa „dokuczliwa”; znaczy, że była mu dobrze znana.

— Przepraszam! – odezwał się J.J., kiedy wrócił aptekarz. – Za pozwoleniem, czy zna pan wiele przypadków krokodylicy?

— Wiele przypadków krokodylicy? Ależ oczywiście!

Aptekarz zdjął okulary i spojrzał na niego tak, jak wykładowca mógłby spoglądać na swoich potencjalnych słuchaczy...

— Krokodylica jest jedną z chorób naszych czasów. Odkąd ludzie porzucili wieś, odkąd zerwali z naturalnym trybem życia i odżegnali się od wiecznych sił życia i śmierci, odkąd zaczęli tłoczyć się w miastach i oddawać obcym owoce swojej pracy...

J.J. odkaslnął i spojrzał na zegarek. Uważał, że lepiej, by aptekarz skończył swój wywód i zajął się pracą...

— Pyta pan, czy znam przypadki krokodylicy? Powiem panu coś, młodzieńcze: krokodylica nie jest najgorszym, co może się człowiekowi przytrafić. Proszę mi wierzyć! Takie na przykład przypadki pajakozy bywają o wiele poważniejsze... Wie pan: pajak, sieć, poczucie uwięzienia, atak...

Twarz J.J. zaczęła blednąć, upodabniając się kolorem do szpitalnego prześcieradła...

— Właściwie, jakby tak pomyśleć, młody człowieku — ciągnął aptekarz, spoglądając mu prosto w oczy — krokodyl to piękny gad, spokojny, rzekłbym, że prawie święty. Pamiętam, jak kiedy mieszkałem na Kubie, widziałem hodowlę krokodyli. Tam mówią na nie kajmany... Wie pan, czym się różni kajman od krokodyla?

J.J. nie wiedział i musiał przyznać, że zanim znalazł się w tej przykrew sytuacji, bardzo niewiele wiedział o krokodylach i ich krewniakach.

— No więc kajmany są dłuższe, a krokodyle mniejsze. Na Kubie, jak już panu mówiłem, widziałem kiedyś hodowlę krokodyli. Niektóre były pod wodą i tylko oczy im było widać. Inne spały jak zabite w błocie, jeden na drugim... Cóż to był za piękny widok! Ja się krokodyli nie boję. Komarów, owszem. Są okropne! Całe ręce i nogi miałem spuchnięte! A taki krokodyl jest piękny, szczególnie kiedy płynie pod wodą i otwiera paszczę... Co panu jest, młody człowieku?

Nic, po prostu zaczęło mu być duszno, nic więcej. Lepka mięsożerna roślina połknęła jego żołądek i teraz wypuszczała pędy w stronę serca i wszystkich wnętrzności.

— No więc, jak mówiłem, krokodyle prawie nie mają wrogów... Proszę zwrócić uwagę, że często nawet strzał z broni palnej nie robi im krzywdy! — Aptekarz uśmiechnął się do J.J. — To te głupie amerykańskie filmy zepsuły im wizerunek. Wie pan, co mam na myśli, krokodyl prześladowający kapitana Haka i tak dalej... Co za bezczelność! A czy wiedział pan na przykład, że w Dolnym Egipcie krokodyle czczono jako zwierzęta święte?

— Nie... — wyjąkał J.J., mając przed oczami obraz swego nieproszonego współlokatora z kozakiem w zębach...

— Niepojęte, jaka ignorancja panuje dziś w tym zakresie! Pan również nie wiedziałby, czy ma do czynienia z krokodylem, aligatorem czy kajmanem, czy z krokodylem błotnym, *crocodylus palustris*, czy z indomalajskim *crocodylus porosus*... Ale co też się z panem dzieje, przyjacielu!

Aptekarz przerwał swoją tyradę, ponieważ J.J. padł jak długi na ziemię.

— Boże drogi! Przecież sam mnie pan o to spytał! Jacyż wy krokodylitycy jesteście wrażliwi!

Aptekarz zaczął go wachlować receptą i J.J. pomału wrócił do siebie...

— W tej chwili mam tylko Krokodyfil. Niech pan od razu zacznie brać tabletki, a po resztę przyjdzie później. Z chęcią pana zobaczę i wtedy będę już miał wszystkie leki, których panu trzeba... Głowa do góry, chłopcze! Proszę pamiętać, że krokodylica to nie koniec świata, a poza tym...

J.J. nie czekał aż mężczyzna skończy zdanie. Złapał opakowanie tabletek, zapłacił i chwiejnie ruszył do drzwi.

— Dziękuję za wszystko! — rzucił jeszcze, przypominając sobie o resztkach kultury.

Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, więc pierwsze, co J.J. zrobił po powrocie do domu, to schylił się i sprawdził, co się dzieje pod łóżkiem. Jak co dzień.

Straszliwy gad, król amerykańskich bagien, czczona nabożnie bestia, która topi swoje ofiary przed pożarciem, leżała spokojnie, za nic sobie mając całą sytuację i swego tajemniczego wielbiciela w fartuchu, aptekarza.

J.J. wrzucił parę kupionych na wyprzedazy butów pod łóżko i zamknął drzwi sypialni, rozmyślając nad swoim smutnym losem.

Usiadł w kuchni, wyjął ulotkę z opakowania Krokodyfilu i zaczął czytać uważnie, z ciekawością, jakiej nigdy nie wzbudziła w nim żadna książka...

TABLETKI KROKODYFIL

Skład:

Substancja czynna: diazepam kroko. Dostępna w dawkach: 1,5 mg, 3 mg i 6 mg.

Właściwości:

Przeprowadzone przez niezależnych ekspertów badania kliniczne potwierdzają, że Krokodyfil jest lekiem o silnym działaniu antykrokotropowym. Przyjmowany w zalecanych dawkach zmniejsza poczucie samotności i niepokój oraz łagodzi zespół uzależnienia emocjonalnego. W większych dawkach ma właściwości utopijne i fantazjogenne, cenne w leczeniu ciężkich przypadków samotności w tłumie.

Wskazania:

Lek przeznaczony jest do leczenia chorób o takich symptomach jak zmartwienie, poczucie odrzucenia, uporczywy brak wsparcia i inne. Zaleca się stosowanie Krokodyfilu w przypadkach gwałtownej potrzeby związku, która może być wywołana samotnością i podatnością na ipsację. Wskazane jest przyjmowanie Krokodyfilu w razie zaniku komunikacji interpersonalnej, zaburzeń radości życia, utajonej agresji czy nieznośnych lęków egzystencjalnych, a także pomocniczo podczas nadziejoterapii.

Dawkowanie:

Czupiradła i pacjenci podupadli na duchu — 1,5 mg trzy razy dziennie.

W ciężkich przypadkach oraz u pacjentów z poważnie zaniżoną samooceną — od 3 do 12 mg, 2 do 3 razy dziennie.

Przeciwwskazania:

Ze względu na działanie napuszające, nie poleca się pacjentom w zaawansowanym stadium megalomanii.

Efekty uboczne:

Krokodyfil jest dobrze tolerowany, a w większych dawkach ma nawet działanie terapeutyczne. Długoletnia praktyka stosowania Krokodyfilu w leczeniu klinicznym nie wykazała negatywnego wpływu na wydajność w pracy ani na odpowiedzialność cywilną, jak również na konsumpcję dóbr i stosunek do telewizji. W leczeniu dzieci i osób starszych wskazana jest ostrożność w dawkowaniu, ze względu na podwyższoną wrażliwość tych pacjentów na leki samotnościotropowe.

Stosowanie Krokodyfilu z innymi lekami:

Stosowanie Krokodyfilu z lekami obniżającymi krokoaktywność ośrodkowego układu nerwowego może prowadzić do wzmożenia odczucia dotkliwej samotności.

Kiedy należy zachować szczególną ostrożność:

Pacjenci powinni unikać beczynności i nudy, jak również deszczowych i tęsknych wieczorów, mogą one bowiem wywołać zupełnie nieprzewidziane reakcje.

Inne ważne informacje dotyczące leku:

Przyjmowanie Krokodyfilu może wpłynąć na niektóre reakcje pacjenta, takie jak zdolność do złudzeń, autoprojekcja automobilistyczna, satysfakcja ze stanu swojego konta itp. **W PIERWSZYCH MIESIĄCACH ZAKOCHANIA NALEŻY PODAWAĆ LEK JEDYNIEM W PRZYPADKACH KRYTYCZNYCH.**

Postępowanie w przypadku przedawkowania:

W razie przedawkowania mogą wystąpić konwulsyjne orgazmy, stany ekstatyczne i niezmierny spokój. W takich przypadkach należy...

J.J. przerwał czytanie tego krótkiego lecz pouczającego traktatu psychologicznego.

Był pod wrażeniem. Treść ulotki tak do głębi go poruszyła, że przez długi czas siedział i medytował nad tym, jak doskonale go ona opisuje.

Wydało mu się, że odtąd lepiej rozumie sam siebie; faktycznie, dotychczas nie był w stanie nazwać ani opisać tego, co czuł: poczucia porzucenia, samotności, podatności na ipsację, zaburzeń radości życia, utajonej agresji. Znał to wszystko z doświadczenia. Wszystkie objawy z ulotki zgadzały się co do joty! Nie mogło być wątpliwości, te tabletki odmieniają jego życie. Kiedy o tym pomyślał, w sercu zapalił mu się płomyczek, a J.J. — być może pod wpływem przeczytanego przed chwilą opisu psychologicznego — nazwał to nowe uczucie **RADOŚCIĄ ŻYCIA**. Dzięki tym tabletkom będzie mógł wprowadzić w życie chociażby zamiar zaproszenia Eleny na kawę; albo nie, zaprosi ją do domu... i powie jej...

I J.J. poszedł do łóżka, popiwszy pierwszą tabletkę szklanką gorącego mleka. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuł głód. Umierał z głodu.

Koci ludzie

Eider Rodríguez



Oryginalny tytuł: Katu-jendea

Tłumaczenie: Monika Czerny

Korekta: Karolina Kononowicz

Wyszczerbiony rachityczny płot oddzielający ogródki Agnes i Yvesa, z dnia na dzień coraz bardziej chyli się ku ziemi. Śniadanie jedzą w swoich domach – osobno, ale o tej samej porze.

Agnes wie o panu Yvesie wszystko, co trzeba: na przykład to, że co rano, podczas gdy jedną ręką kartkuje wczorajszy *Sud-Ouest*, w drugiej trzyma filiżankę kawy. Trzyma filiżankę w górze, dopóki nie przejrzy całej gazety, a gdy dochodzi do ostatniej strony, wypija kawę jednym haustem. Jeszcze w zeszłym roku wypalał jednego papierosa. Ale rzucił palenie. Po śniadaniu bierze prysznic. Z włosami zaczesanymi do tyłu podchodzi do okna i nasypuje karmy do pojemnika, podczas gdy kot szturcha łebkiem jego dłoń. Potem zaciąga zasłony w kuchni i w salonie.

Yves nie wie zbyt wiele o pani Duhalde: tylko tyle, że ma skromny, ale zadbane ogródek, że co środę wyrzuca butelkę po koniaku do kontenera na szkło i że chociaż ona sama jest niska i drobna, ma grubą córkę, która przyjeżdża na święta z Hiszpanii.

Za dziesięć dziesiątą Yves odpala furgonetkę, na której widnieje nazwa jego sklepu z lampami, i rusza do pracy.

Agnes zajmuje się domem i ogrodem.

Jedynie pogoda zakłóca rutynę sąsiadów.

Mieszkają obok siebie od trzech lat. Dom, który kupił Yves, należał wcześniej do starszej pary z Madrytu.

W środy Yves je kolację ze swoimi synami. O ile nie jest zbyt zimno, na tarasie, niezależnie od pory roku. Wtedy Agnes słyszy ich ze swojego ogródka i nie musi się specjalnie kryć, bo roślinność w ogrodzie sąsiada jest bardzo gęsta. Poza rugby rozmawiają o samochodach i o kobietach. Czasem tematem rozmowy jest sprzedawczyni ze stacji benzynowej w Pau, a także

córki kuzyna. Wtedy Agnes rumieni się na myśl, że ojciec i synowie mogliby żyć z tą samą kobietą.

Od czasu do czasu Agnes śni się, że zjawia się u nich z pieczonym indykiem obłożonym ziemniakami i kasztanami, nakłada każdemu kopsiastą porcję, daje się namówić na kieliszek albo dwa i uśmiecha się dyskretnie.

Niestety, od wielu tygodni jest beznadziejna pogoda i Agnes może obserwować sąsiada jedynie rano, bo kolację Yves je w salonie, w świetle telewizora. Ale Agnes nauczyła się czytać z cieni.

Teraz dzień jej się dłuży. Wcześniej, gdy zajmowała się panią Bretal, ona i Yves wracali do domu prawie o tej samej godzinie. Lecz gdy staruszka zmarła, Agnes została bez pracy i pani z urzędu zaproponowała jej, by złożyła papiery o emeryturę. Chociaż z siostrą z Tuluzy rozmawia zwykle w czwartki wieczorem, w tamten poniedziałek Agnes zadzwoniła do niej z rana, by się poradzić. Siostra szybko rozstrzygnęła dylemat. Po południu córka powiedziała jej dokładnie to samo, co rano siostra. W środę Agnes była już kobietą na emeryturze.

Teraz, gdy Yves idzie do pracy, Agnes daje jego kotu torebkę mokrej karmy i myśli: „wystarczy spojrzeć na jego błyszczącą sierść, żeby wiedzieć, że to szczęśliwy kot” i głaskaniem uspokaja Lili, która denerwuje się, gdy jakiś inny kot pojawia się w pobliżu.

Nigdy przedtem dłużej ze sobą nie rozmawiali. Było listopadowe popołudnie. Agnes wychodziła właśnie spod prysznic, kiedy wydało jej się, że gdzieś w pobliżu domu słyszy płacz małego dziecka. W szlafroku wyszła na taras i po drugiej stronie płotu zobaczyła Yvesa, w pantoflach i z miotłą w ręku. W samym środku ogrodu Agnes, na posłaniu z rdzawych hortensji, pręgowany kocur pana Dubois dosiadał Lili. Kotka pani Duhalde leżała na brzuchu z szeroko rozłożonymi łapkami i zadzierając łepkę do góry, wydawała odgłosy przeraźliwsze od zgrzytu wykolejającego się pociągu.

Agnes zakłopotana zaciągnęła pasek szlafroka.

– Pani Duhalde? Mogę wejść?

– Tak, proszę.

Yves szturchnął swojego kota kijem od szczotki i prawie by mu się udało, jednak zwierzęta, nie rozłączając się, szybko uciekły pod figowiec Agnes.

Kobieta usiłowała coś powiedzieć, ale w końcu chwyciła ze stolika słoik i rzuciła w zwierzaki. Koty przestały kopolować i popatrzyły na właścicieli.

Yves wyciągnął rękę do Agnes:

– Dobry wieczór.

- Dobry wieczór.
- To ci dopiero historia... One długo tak? Wierciłem dziury i niczego nie widziałem.
- Proszę się nie przejmować, wiadomo jakie są zwierzęta – powiedziała Agnes podnosząc białego kota. - Prawda, Lili?
- Liliane? Dziwne imię dla kota.
- Nie, Lili. *Kwiat*. Po baskijsku lili znaczy *kwiat*.
- Niech pani nie myśli, że jej nie znam. Czasami sypia u mnie na balkonie, na krześle.
- Nie może być – powiedziała zawstydzona kobieta.
- Tak, od dawna. Na mojej kanapie też się czasem zdrzemnie, lubi mój koc – powiedział mężczyzna, przymykając oczy na znak, że mu to nie przeszkadza.
- Doprawdy nie wiem, co powiedzieć, nie wiedziałam, że ta spryciara...
- Niech się pani nie przejmuje, pani Duhalde, ona nie sprawia mi żadnego kłopotu.
- Dziękuję panu, to miło z pana strony.
- Ależ nie ma za co!
- Yves pogłaskał Lili po głowie, a Agnes zaskoczyła wielkość jego dłoni.
- Mam nadzieję, że zdążyłem na czas.
- To moja wina. Wiele razy chciałam ją zabrać do sterylizacji, ale zawsze w ostatniej chwili rezygnowałam, prawda, Lili?
- Lili, rozdrażniona, węszyła za utraconym samcem i rozkosznie przebierając łapkami w powietrzu, usiłowała wyrwać się z rąk Agnes.
- Jest naprawdę piękna. Perska? – Yves ujął Lili za łapkę gestem jak przy składaniu przysięgi małżeńskiej.
- Tak, może nie całkiem, ale tak.
- Powinna pani uważać. Jest za ładna, żeby chodzić wolno. Kręci się tu dużo łobuzów. Wie pani, wezmą wszystko, co im się nawinie pod rękę i nie zastanowią się nad krzywdą, jaką wyrządzają. Niech pani na nich uważa.
- Ale tak trudno utrzymać ją w domu.
- A, to prawda. Te czorty doskonale znają wszystkie szpary.
- A pana kot jak się nazywa?
- Dziadek.
- Też jest piękny...
- Nie, Dziadek nie jest piękny. Duży, to tak. Waży z siedem kilo. Był jeszcze malutki, kiedy moja była żona dostała go w prezencie, razem z imieniem, Fifi, Pioupiou, czy coś w tym stylu. Ale w miarę jak rósł, robił się coraz bardziej podobny do mojego dziadka, więc go przechrzciliśmy.

Był wojskowym. Mój dziadek, znaczy się. I ten głupek ma jego gębę. Pokażę pani zdjęcie i sama pani powie.

Agnes nie wiedziała, czy chciał jej pokazać zdjęcie od razu, czy może kiedy indziej i nagle poczuła potrzebę ucieczki. Przycisnęła Lili do piersi.

– Ale zimno.

– Kiedy się wyprowadzała, próbowała zabrać i kota, ale jej nie pozwoliłem. Jak mógłbym pozwolić jej, żeby zabrała mi mojego dziadka?!

Agnes nieraz słyszała, jak śmiał się przy kolacji z synami, donośnie, żywo. Nie wiedziała jednak, że ma tak mocne zęby.

Od dnia parzenia Agnes nie pozwalała Lili wychodzić z domu, ale Dziadek zaczął jej szukać, krążąc wokół domu w środku nocy. Rozdzierające miauczenie Lili budziło Agnes. Kobieta gładziła kotkę po grzbiecie i mówiła: „Księżniczko, nie możemy sobie na to pozwolić, nie możemy”. W dzień Lili przesiadywała godzinami z nosem przy szybie lub ocierała się grzbietem o kanty wszystkich mebli.

Pewnej nocy, gdy Agnes w kuchni zmywała amoniakiem ślady moczu pozostawionego przez kotkę, za oknem pojawił się Dziadek. Lili zaczęła uderzać głową o szybę, prychała, mrużyła oczy, przyciskała zadek do szyby, zawodząc tak, że było słycać w całej okolicy. Agnes otworzyła torebkę mokrej karmy i wystawiła za okno, ale Dziadek strącił ją pyskiem na ziemię. Gdy próbowała uspokoić kotkę, ta podrapała jej szyję. Agnes z oczyma pełnymi łez uchyliła okno i jak tylko Lili wyszła, Dziadek na nią wskoczył.

Agnes pochlipywała w kuchni, gdy zadzwonił dzwonek.

– Pani Duhalde? To ja, Dubois, mogę wejść?

Agnes podeszła do drzwi w swojej zimowej piżamie. Yves uściśnął jej dłoń. Była trzecia rano, w ręku trzymał miotłę.

– Nie powinienem był mu pozwolić wyjść, ale ten czort... Dwie noce oka nie zmrużyłem... Bardzo mi przykro. Gdzie są?

Agnes otarła łzy rękawem piżamy i poprowadziła mężczyznę przez pograżone w ciemnościach mieszkanie aż na taras. Podeszli do kotów, Yves popchnął Dziadka miotłą, a Lili skoczyła w górę jak sprężyna. Samiec w jednej chwili zaczął się ocierać o jego kapcie, pomiaukując.

Lili, wypiękniata namiętnością kochanka, spoglądała na nich z balustrady.

– Ja zabrałam się za porządki. Wczoraj wymyłam pochłaniacz, a dziś spróbuję wyczyścić te plamy z farby na podłodze – powiedziała Agnes.

– Może szklanke mleka? Albo Rikoré? Chodźmy do środka, bo zmarzniemy.

Yves miał na sobie jedwabny szlafrok, a pod spodem bluzę od dresu i slipy. Gdy Agnes to zauważyła, odwróciła głowę tak, jak robiła, gdy w telewizji pojawiały się sceny przemocy.

– Lekarz zabronił mi nabiału, przez cholesterol.

– Po południu upiekłam ciasto, zje pan kawałek.

– Ach tak, tego sobie nie odmówię!

W kuchni Agnes jeszcze pachniało masłem. Na stole, na blasze z piekarnika leżało nietknięte ciasto, nawet niewyjęte z formy. Agnes wzięła długi nóż i ukroiła kawałek.

Dziadek i Lili zaczęły gonić się dookoła stołu. Lili co chwilę przewracała się na grzbiet i prężyła niczym gwiazda filmowa. Dziadek zbliżał się od niej, figlarnie zaczepiał łapką i obwąchiwał, bezustannie nawołując.

– Na pewno nie chce pan *Rikoré*? Rozrobię panu z dużą ilością wody i z odrobiną mleka...

– Nie, naprawdę. A może... – gdy się zaśmiał, Agnes zauważyła, że rusza mu się ząb – a może... – powiedział, świadomy niestosowności tego, co mu przyszło na myśl.

Agnes podała mężczyźnie szklanke, przyglądając mu się. On kilka razy zanurzył ciasto aż do dna. Na powierzchni mleka zostały okruchy.

Dziadek wskoczył na Lili, a ona przywarła do ziemi jak dywanik.

– Czas na nas – Yves lekko szturchnął Dziadka w nogę. - Pani Duhalde, ciasto było przepyszne.

Z Lili na rękach, Agnes odprowadziła mężczyznę i kota do drzwi.

Agnes zaczęła się stroić świadoma obecności Yvesa w sąsiednim domu. Rano, zaraz jak wstała, czesała się. Po południu, gdy dochodziła szósta, podciągała żaluzje w salonie i ubierała się jak do wyjścia. Kartkowała *La Redoute* i katalogi dużych supermarketów na sofce, bo stała najbliżej okna. Któregoś dnia, w drodze do łazienki, zauważyła żółtawą smugę na podłodze.

– Moje biedactwo, co ci jest?

Lili otarła się głową o jej stopy. Agnes dała jej ciepłego mleka w filizance i kot zgrabnymi liźnięciami wychłptał wszystko. Następnie zadzwoniła do weterynarza.

– Pani Mitxelena, tu Agnes Duhalde. Dzwonię, bo nie wiem, co się dzieje z moją malutką Lili: rano zwracała i wydaje mi się, że będzie miała małe.

Z głębi gabinetu dobiegało szczekanie.

– To jeszcze niczego nie dowodzi.

– Ten przeklęty kocur sąsiada nie daje jej spokoju.

– Jednak to, że wymiotowała, jeszcze niczego nie dowodzi, pani Duhalde.

– Zrobiła się bardzo kapryśna.

– Sterylizacja kosztuje 150 euro, niech pani nie będzie niemądra i w końcu się zdecyduje. Już się wyszalała.

– Wydaje mi się, że już jest za późno.

– W dodatku, między nami mówiąc, jeśli samce są takie jak nasi mężczyźni...

Agnes umiała zaśmiać się, kiedy należało.

– W każdym razie, na zabieg jest jeszcze czas.

– Nie, z pewnością nie jest w ciąży, coś sobie ubzdurałam, jak to ja.

Agnes położyła ręce na brzuchu kotki. Bez wątpienia, zaczynała się zaokrąglać.

Tego dnia na obiad dała jej puszkę sardynek w oliwie, chociaż zwykle trzymała je na specjalne okazje i urodziny.

Żeby zająć się czymś do czasu, gdy Yves wróci z pracy, po południu poszła na basen, po czym, tydzień wcześniej niż zwykle, zrobiła miesięczne zakupy w Championie. Pięć po szóstej usłyszała, jak mężczyzna wysiada z furgonetki, pogwizdując. Agnes czekała na niego przed domem.

– Panie Dubois! Muszę z panem koniecznie porozmawiać.

– Oczywiście. Czy coś się stało?

– Chodzi o koty, co się narobiło!

– Wejdzie pani? Zrobię kawy.

Agnes stłumiła płacz.

– Chodzi o Lili. Będzie miała małe.

– Nasza mała księżniczka? Nie może być!

– Tak powiedziała mi weterynarz – będzie miała małe.

– I co teraz?

– Nie wiem, jeśli będą miały długą sierść, moglibyśmy je sprzedać.

Ludzie są gotowi sporo zapłacić za perskiego kota.

Yves odsonił w uśmiechu swoje mocne zęby.

– Weterynarz powiedziała, że jeszcze możemy usunąć – i świadomość tego, iż zawarła w jednym czasowniku jego i siebie, oszołomiła ją. – Sama nie wiem.

– Na pewno nie chce się pani napić kawy? Jeśli pani chce, to mam też *Rikoré*...

W domu Yvesa pachniało kadzidelkiem. Obok drzwi leżał otwarty parasol, a na kafelkach zebrala się mała kałuża wody. Na stole w kuchni, *L'equipe*¹⁵ upstrzona okruchami, kawałek chleba i skórka od kielbasy. Agnes wzdrygnęła się na widok pustej butelki po winie obok zlewu. Utkwiła wzrok w mikrofalówce, gdzie dwie stykające się filiżanki miały zaraz zabulgotać.

– Ja jestem gotów zapłacić połowę za zabieg, ale zrobimy tak, jak pani będzie uważać.

– Chyba chcę, żeby urodziła – powiedziała Agnes, jak tylko wyszedł z kuchni.

Yves wrócił ze starym albumem, otwartym w połowie. Ujrzała jasnookiego mężczyznę z nastroszonymi wąsami, z medalami na piersi i szablą w dłoni.

– Niech pani powie, czy nie są do siebie podobni?

– To prawda, mają ten sam wyraz twarzy.

Yves przerzucił strony.

– To jego ostatnie zdjęcie. Ciągnął już ostatkiem sił.

To było ślubne zdjęcie Yvesa. Dziadek miał przyklapnięte wąsy, oczy jeszcze bardziej przeźrocyste. Obok Yves z żoną. Agnes ogarnęło dawno zapomniane uczucie.

– Nie chcę być wścibska, ale jesteście rozwiedzeni czy...?

– Tak, rozwiedliśmy się cztery lata temu. Cztery szczęśliwe lata. A pani? Pani wyszła za mąż?

– Nie, ja nie.

– Niezameżna?

– Tak, nigdy nie wzięliśmy ślubu.

Dziadek kichnął, kiedy Yves roztarł dłonią kadzidelko.

– Cóż... Co do Lili, to... Nie będziemy usuwać.

– W porządku.

Agnes poczuła, że nadszedł moment, w którym powinna albo ściągnąć płaszcz, albo wyjść.

– Będę pana na bieżąco informować.

– Miłego wieczoru.

– Wzajemnie.

W miarę jak rósł brzuch Lili, wizyty Dziadka stawały się coraz rzadsze. Yves wracał, gdy już było ciemno i Agnes widywała go tylko z rana. Czasami długo przyglądała się odcisniętym na asfalcie śladom furgonetki.

¹⁵ Gazeta sportowa.

Dziadek codziennie zjadał torebkę mokrej karmy. Lili przysiadła obok i kreśliła ogonem zalotne choreografie, samiec jednak nie podnosił głowy znad miski, a gdy się w końcu najadał, odchodził, dużo wolniej niż przyszedł.

Agnes głąskała Lili po grzbiecie. Nabrzmiały jej już sutki.

Pewnego razu, gdy Agnes wróciła z basenu, zobaczyła kleistą smugę w przedpokoju. Przestraszyła się. Najpierw drapanie, a potem płacz, którego wcześniej nie usłyszała, zawiodły ją do sypialni.

Lili siedziała w szafie, w gnieździe zrobionym ze swetra i poduszki, przestraszona, oczy miała większe niż zwykle.

Cofnęła się, gdy Agnes dotknęła jej brzucha.

Poduszka była mokra, a przed szafą ciemniał brunatny ślad.

Podstawiła kotce filiżankę wody. Poglaskała ją. Zwierzę wzdragało się za każdym dotknięciem Agnes. Ujęła ją za łapkę, tak, jak na filmach mężowie chwytają za rękę rodzące żony.

Kiedy udało jej się uspokoić kotkę, założyła sukienkę z angory i przypudrowała twarz. Skórę za uszami i na nadgarstkach skropiła kokosowymi perfumami i udała się do domu Yvesa.

– Już idę, moja droga. Jedną chwilę, już idę.

Weszli oboje z zaczerwienionymi nosami i włosami mokrymi od deszczu. Yves wciąż trzymał w dłoni klucz od furgonetki. Chociaż w sypialni było ciepło, usiedli na łóżku w płaszczach, nie odrywając oczu od Lili. Kotka parła, uderzając o tylną ściankę szafy. Na koniuszkach jej wąsów drżały kropelki wody, która wylała się z filiżanki. Agnes wpadała w panikę przy każdym skurczu, ale gdy tylko usiłowała podejść, kotka usuwała się w głąb szafy.

– Niezłego bigosu narobił ten mój kocur – powtarzał z dumą Yves.

Agnes zaproponowała mu coś do picia, a on poprosił o mały koniak.

Gdy wróciła do pokoju, po raz pierwszy w życiu przyjrzała się znajdującym się tam przedmiotom: wyszywanej serwecie na komodzie i porcelanowej wazie, zdjęciu Caroline w cieniu palmy i z lodem w ręce, które zrobili zaraz po przyjeździe do Alicante, malwowemu misiowi na łóżku i kolekcji flakoników perfum. Po raz pierwszy w życiu poczuła się obco w swoim pokoju.

Yves trzymał kieliszek w obu dłoniach.

– Jest! Jest pierwszy! – krzyknął, klękając na podłodze i przyglądając się kotce z bliska.

Agnes pociągała koniak niedostrzegalnymi łyżkami, szczęśliwa, że Yves przejął kontrolę nad sytuacją, gdyż nie była przyzwyczajona, by rzeczy przydarzały się właśnie jej. Najpierw Lili wypchnęła z siebie coś wilgotnego i miękkiego. Następnie łagodnymi ugryzieniami przerwała pępownię. Nowo narodzony kociak był podobny do kreta, miał zamknięte oczy i był pokryty kleistą powłoką. Podczas gdy Lili go wylizywała, nadszedł drugi, biały.

Agnes chrupnęło w kościach, gdy uklękła obok Yvesa.

– Ten chyba ma długą sierść! – powiedział.

– Chyba nie urodził się martwy? Nie rusza się... Nie żyje!

- Nie, za moment się rozrusza, zobaczy pani.

Agnes z oczami pełnymi łez czekała na pierwsze oznaki życia kociaka. Nie mogła uwierzyć, że te kłębuszki ciała z posklejnymi włoskami mogły być żywe.

– Nie wolno ich dotykać, jeśli będą pachnieć nami, matka je odrzuci albo zagryzie – powiedział Yves.

Poród trwał dwie godziny: urodziły się cztery kotki, dwa krótko- i dwa długowłose. Lili zjadła łożysko, a potem po kolei wylizała kociaki na błysk.

Zaraz zaczęły miauczeć i pełzać, dopóki nie dobrały się do sutków mamy.

Yves i Agnes usiedli na łóżku, przyglądając się kociętom.

– Podobne do taty...- powiedział mężczyzna.

– Może pan wziąć, którego pan chce, panie Dubois. Nawet więcej niż jednego.

– Bardzo dziękuję, ale wystarczy mi ten, którego już mam.

– Może dla któregoś z synów...

Tak dobrze znane Agnes uczucie niezręczności ogarnęło jej całe ciało, bo przecież pan Dubois nigdy nie wspominał, że ma synów. Yves spojrzał na kocięta prawdziwie po ojcowsku.

– Nie lubią zwierząt. Pomyśleć, że nawet nie chcą mieć dzieci.

Gdyby Caroline chciała, mogłaby jej wysłać jednego przez gońca. Ale by przecież nie chciała. Nigdy nie przepadała za kotami i za każdym razem, gdy Agnes przez telefon wspominała o ciąży Lili, z miejsca zmieniała temat.

– Myślałam, żeby wywiesić ogłoszenie na tablicy w Championie.

– To będziemy musieli zrobić im zdjęcie...

– Ale są jeszcze za małe do fotografowania.

– Zdjęcie rodzinne zrobimy za parę tygodni. Dziadka też przyszykuje na tę okazję.

Yves wykonał gest, jakby chciał wstać:

– Muszę się zbierać. Moi synowie przychodzą dziś na kolację.

Agnes spojrzała na zegar. Kolejnym małym koniakiem złagodzi godziny, jakie pozostały, zanim pójdzie do łóżka.

– Dziękuję za wszystko, panie Dubois.

– Jeśli pani będzie czegoś potrzebować, wie pani, gdzie mnie szukać. Teraz jesteśmy rodziną, pani Duhalde, skoligacili nas. I stokrotne dzięki za koniaczek. Dobrze mi zrobił przy tej pogodzie.

Gdy Yves podniósł się z łóżka, rozprostowując zastałe członki, przez chwilę wyglądał jak niedźwiedź dopiero co przebudzony z zimowego snu. Agnes zapatrzyła się na zmarszczki na narzucie, zanim odprowadziła go do drzwi. Podmuch wiatru zmoczył jej twarz deszczem, a Yves, w pośpiechu i postępując, zbiegł po schodach.

Kolejne dni upływały Agnes na czesaniu i patrzeniu na kocięta. Przed upływem miesiąca znalazła dwa kociaki uczone frędzli od kołdry, a drugie dwa w szufladzie, w której trzymała rajstopy i szaliki. Lili przygasła sierść, utraciła swój dawniejszy wdzięk i była wyraźnie wyczerpana. Agnes pieściła kotkę to łagodnie, to gwałtownie, miotana na przemian miłością i współczuciem.

Czekała na znak od Yvesa. Trudno jej było zrozumieć, dlaczego pan Dubois nie przychodził, żeby się spytać o Lili i kocięta. Owego dnia, ośmielona kieliszkiem koniaku, nacisnęła dzwonek. Otworzył jej w dresie. Małe okularki spoczywały na jego nosie niczym bariera odgradzająca go od reszty świata. Zapach kadzidełka dochodzący z wnętrza podziałł na nią kojąco.

– Dobry wieczór, pani Duhalde.

– Dobry wieczór, przepraszam, że tak późno, pewnie pan jadł kolację.

– Nic nie szkodzi. Jak tam rodzina? – zapytał Yves, składając okulary i nie zapraszając do środka.

– Pomalutku, rosną. Dzisiaj znalazłam jedną z kotek w koszyku, spała sobie słodko na chlebie tostowym.

– Może pani wejdzie? Zapowiedzieli śnieg na przyszły tydzień i jeszcze niższe temperatury. Co za beznadziejna pogoda.

Agnes uczyniła gest, jakby chciała zdjąć kaptur, ale zamiast tego mocniej zaciągnęła sznurki.

– Bardzo dziękuję, ale zostawiłam włączony piekarnik, wie pan, z ciastem. W każdym razie, przyszłam, bo umówiliśmy się, że zrobimy zdjęcie. Nie wiem, czy jeszcze jest pan zainteresowany.

– Oczywiście, że tak. Jeśli pani chce, to mogę wpaść w tej chwili.

Agnes pomyślała o swoim wymyślanym cieście, ale i tak się zgodziła.

Yves wziął Dziadka z kąta w salonie i kocur całą drogę do mieszkania Agnes przebył błogo leniuchując w jego ramionach. Tam Lili powitała go prychnięciem.

– Księżniczko, jak ty się zachowujesz? Ojciec też musi być na zdjęciu, bądź grzeczna.

– Gdzie je zrobimy? – spytał Yves.

– Nie wiem... Może w mojej sypialni. Wydaje mi się, że to najwłaściwszemiejsce, prawda?

Yves założył okulary i długo przypatrywał się przyciskom w aparacie. W tym czasie Agnes poprawiła poduszki i posadziła na nich cztery kociaki razem z Lili.

– Dziadek, chodź tu!

Yves zrobił zdjęcia, jak tylko kocur wskoczył na łóżko. Agnes przyglądała im się spod drzwi, stając na palcach.

– Pani Duhalde, zrobimy zdjęcie całej rodziny?

Stłumiła drobny uśmiech, zanim usiadła na łóżku. Yves ustawił aparat na komodzie, odsunawszy zdjęcie Caroline w róg i ciężko usiadł obok Agnes. Agnes zabrakło tchu. Trzask aparatu rozległ się w momencie, gdy ich dłonie się zetknęły.

– Mam w domu taki sprzęt do drukowania. Wie pani, synowie nigdy nie wiedzą, co dać mi pod choinkę, a mają za dużo pieniędzy. Zaraz pani przyniosę zdjęcie.

W tym czasie Agnes wstawiła ciasto do piekarnika i na kartoniku stylizowanym na papirus napisała piórem:

Quatre adorable petits chattons à donner:

Deux blancs avec poil mi-long et deux gris tigrés.

Ils sont nés le 17 septembre. Je les garde donc au moins

jusqu'au 14 novembre, afin que le sevrage

se fasse en douceur.

Pour en réserver un, me contacter par téléphone

(0559202133)¹⁶

Jedyne, co jej pozostało do zrobienia, to przyklejenie zdjęcia i powieszenie ogłoszeń w supermarkecie, u weterynarza i na dworcu.

Yves dał jej kilka zdjęć, również to, na którym byli razem.

– Tak na pamiątkę.

Postawiła je obok zdjęcia Caroline, w ramce, w której kiedyś trzymała swoje zdjęcie z młodości.

Rozwiesiła ogłoszenia i w krótkim czasie rozdała kocięta. Ale gdy oddała ostatniego (wzięła go para z Lesaki, za pudełko Ferrero Rocher), Lili zniknęła. Do ogłoszeń wykorzystała jedno ze zdjęć od Yvesa. Porozwieszała je w dzielnicy, jednak mijały tygodnie i nikt nie zadzwonił. Lekarz zalecił jej, żeby brała całą pastylkę nasenną zamiast połowy i żeby się zmęczyć, by nie przestawała chodzić na basen.

Codziennie rano i wieczorem obchodziła dzielnicę. Sprawdziała pod samochodami, podnosiła pokrywy śmietników, zaglądała do ogródków. Za każdym razem gdy wołała kota, na nowo wstępowała w nią nadzieja.

Pewnego popołudnia rozległ się dzwonek. To był Yves.

– Dzień dobry pani Duhalde.

– Dzień dobry.

Agnes otworzyła furtkę, ale mężczyzna nie zamierzał wchodzić.

– Chodzi o Lili. Jeszcze się nie znalazła, prawda?

– Widział ją pan? Coś jej się stało?

Agnes rozplakała się, gdy Yves odchrząknął.

– Wydaje mi się, że jest w mojej piwnicy. Musi tam leżeć od dawna, ale przy tych niskich temperaturach jeszcze tak bardzo nie czuć.

– Jest pan pewien?

– Niech pani wejdzie.

Agnes czuła, jak wilgoć trawy przenika do jej butów. Mężczyzna podał jej dłoń i przeprowadził przez zabłoconą drogę do piwnicy. Następnie

¹⁶ *Cztery cudowne małe kociaczki do oddania: Dwa białe ze średnio długą sierścią, dwa szare przegowane. Urodziły się 17 września. Zostaną u mnie przynajmniej do 14 listopada, żeby nie odstawiać ich od matki zbyt szybko. W celu rezerwacji, proszę się kontaktować telefonicznie (0559202133).*

wrócił z dwoma kieliszkami koniaku, tak jakby byli ostatnimi gośćmi na przyjęciu, na którym nawet muzyka już dawno przestała grać.

– Jest pani gotowa?

– Tak, miałam wystarczająco czasu, żeby przygotować się na najgorsze.

Zanim otworzył drzwi do piwnicy, wyjął jej kieliszek z ręki.

– Nie wygląda zbyt dobrze, ale to z pewnością ona, proszę mi wierzyć, doskonale ją znałem. Na pewno chce ją pani zobaczyć?

W świetle nagiej żarówki Lili bardziej przypominała stary dywanik do łazienki niż kocią boginię. Podłoga dookoła niej była brudna i chociaż okna były pootwierane, odór drażnił płuca. Agnes wyszła, kaszląc.

– Dobrze się pani czuje?

Agnes chciała go objąć, ale zamiast tego wyjęła z rękawa chusteczkę i wytarła nos.

– Chciałabym ją pochować u siebie – powiedziała Agnes, gdy zamknęła drzwi od piwnicy.

– Ja się tym zajmę, pani Duhalde – powiedział Yves, chwytając za trzonek łopaty.

– Zrobimy to razem.

Agnes przyniosła z domu amoniak, chlor, ścierki, gumowe rękawiczki, mopa i worki na śmieci. Żeby wyczyścić piwnicę, musieli najpierw owinąć stopy plastikowymi workami i założyć gumowe rękawiczki.

– To bardzo dziwne, bo ja nie wykładam trutki na szczury. Nie rozumiem, jak to mogło się stać. – powiedział Yves.

– Czego ona mogła szukać?

Agnes nadstawiła torbę, a Yves łopatą zgarnął szczątki Lili.

– Waży tyle, co mały kociak – powiedziała.

Przy wejściu Dziadek zmierzył ich surowym wzrokiem.

– Przyniosę panu puszki sardynek i karmę, które mi zostały. Dziadek będzie wdzięczny.

– Ale, pani Duhalde, może jeszcze...

– Nie, ten był ostatni. Nie wezmę więcej żadnego kota.

Pan Dubois wykopał dół pod figowcem, pod okiem pani Duhalde. Nie zamienili ze sobą słowa, jedynie pośpiesznie wyszeptali krótką modlitwę. Pochowali Lili w worku.

– Bardzo dziękuję, panie Dubois. Dziękuję panu z całego serca za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

– Doprawdy nie ma za co, pani Duhalde.

– Życie toczy się dalej, nic na to nie poradzimy.

– Dokładnie tak, życie musi toczyć się dalej.

– Miłego wieczoru, panie Dubois.

– Wzajemnie, pani Duhalde.

Wrócili do swoich domów, do swoich rozkładów dnia, ogródków i marek kawy. Po paru dniach wydało im się, że powrócili do życia, jakie wiedli, zanim w ogóle cokolwiek się wydarzyło. Jednak przez długie tygodnie nie mogli zapomnieć tamtego zapachu. To był zapach pożądania, gdy – porzucone – umiera.